№ 2. Warszawa, dnia 14 (2) Stycznia 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CHWILA OBECNA.

Berlińska *Post* porównała ogłoszone w *Reichsanzeigerze*, słynne „dokumenty sfałszowane" do ciśniętej „kości, którą prasa europejska od tygodnia przeszło z wielką przyjemnością ogryza." Porównanie trafne, chociaż kość owa niewarta tak zaciętego ogryzania. Składa ona się bowiem z listu księcia Koburskiego do hrabiny Flandryi, oraz z odpisu noty ambasadora niemieckiego w Wiedniu. List jest pełen pokory, żebraniny i wyciągania ręki na wszystkie strony. Natomiast mniemana nota zdradza tajemną i nieprzyjazną Rosyi grę ks. Bismarka. „Widoczną jest rzeczą — miał pisać hr. Reuss — że, jeżeli W. Wysokość udajesz się do Bułgaryi z tą myślą (objęcia tronu) poważnie podjętą i zdecydowaną, przyjdzie chwila, mimo że działania polityki niemieckiej względem przedsięwzięcia W. Wysokości obecnie mogą się wydawać nieprzychylnemi a nawet wrogiemi, uczucia, jakie rząd berliński *potajemnie żywi* dla pomyślnej akcyi monarchicznej W. Wysokości w Bułgaryi, wystąpią jawnie i osiągną całą doniosłość, przywiązaną do stanowczych czynów potężnego mocarstwa." Jest to jądro kamienia obrazy, a przyznać trzeba, że, jeśli nie prawdziwe, to dobrze zmyślone. Polityka niemiecka w sprawie bułgarskiej miała od początku i ciągle szew podwójny: jawny bieg w kierunku interesów Rosyi, skryty — w kierunku interesów ks. Koburskiego. Gdzie dowody? — pyta prasa berlińska. Jest ich mnóstwo, ale tak nieporchwytnych, nikłych, jak cała dyplomatyczna tkanina, dochodząca w rękach ks. Bismarka do pajęczej delikatności. I właśnie te wyraźne, liczne a do ujęcia trudne dowody tworzą rząd piłek, przecinających mocne aż dotąd klamry stosunków niemiecko-ruskich. Pomimo ogłoszenia owych „dokumentów," mimo chwilowej zgody, mimo lekkiego dźwignięcia się na giełdach rubla, odezwały się naprzód w gazetach obu państw delikatne, coraz głośniejsze pomruki, rubel znowu upadł w kursie, a dziś walka na pióra wre jak przedtem. *Swiet* petersburski radzi nawet, ażeby Rosya porozumiała się z Austryą i wystąpiła przeciwko Niemcom, które wszystkich chcą wyprowadzić w pole. Inne gazety ruskie usiłują wymódz na sobie sympatyę do wielkiego „pająka" politycznego, ale co chwila wydziera im się tłumiona odraza. W niemieckich szczytem optymizmu jest przypuszczenie, że „pokój da się jeszcze utrzymać na rok jeden." W Paryżu zaczął wychodzić dziennik p. t. *L'Au[illegible]he slave et roumaine*, występujący dość ostro przeciwko Węgrom (które uważa za szaniec niemiecki). Organ ten powiada: „Przez cały grudzień, pomimo najgroźniejszych objawów i złowrogiej wrzawy, uważaliśmy wojnę za nieprawdopodobną. Obecnie, pomimo widocznego uspokojenia się... twierdzimy, że pokój jest bardzo niepewny." Bo „jakże on może utrzymać się przy tych intrygach gorączkowych, tych matactwach podziemnych, tej mieszaninie gwałtu i obłudy, wyraźnych wskazówkach strasznego spisku przeciwko spokojowi Europy? Trzeba to wyznać głośno: pokój nie da się pogodzić z owem ogniskiem wstrząśnień, które nazywa się potrójnem przymierzem."

Nie powtarzamy szczegółowo wywodu gazety o „machiavelizmie" tego związku, gdyż nie chodzi nam o dyagnozę choroby, zresztą tak wyraźną i każdemu wiadomą, że wyjątkowo nieudolnym musi być ten, komu dziś jeszcze potrzeba tłomaczyć przyczyny rozstroju Europy. Chcemy tylko zaznaczyć, że ów rozstrój dalej trwa i że go taki niewinny plaster, jak wykrycie i ogłoszenie „fałszywych dokumentów" bynajmniej nie goi. Zaiste wesołą przerwą w smutnych rozmyślaniach była wiara niektórych gazet w doniosłe skutki tego środka. Płytka, bezmyślna terapia polityczna chwyta się ciągle rozmaitych znachorowych leków i oczekuje od nich cudu: to Koburg, to podróż umyślnego wysłańca, to artykuł dziennikarski, to komunikat półurzędowy, to list osoby wysoko postawionej, to inny jakiś płatek z balsamem lub podwiązanie drobnej, krwawiącej arteryjki ma sprowadzić zupełne wyzdrowienie schorzałego i nadgniłego organizmu Europy. Są to wszystko złudzenia i banialuki: wobec zaostrzonych sprzeczności interesów i dążeń, wobec głęboko odczuwanych krzywd i potrzeb odwetu, wobec olbrzymich mas nienawiści i niewiary, wobec tej gangreny, jaka szeroko rozpostarła się po ciałach społeczeństw, operacya gruntowna i krwawa jest już tylko kwestyą czasu i to czasu bardzo niedalekiego. Jeżeli Niemcy, zaopatrując swoją armię w nowe karabiny i powiększając ją o kilkaset tysięcy żołnierzy, kładą w dziób swemu orłowi różczkę oliwną, to świadczy jedynie o prawdzie przysłowia łacińskiego, że „świat chce być oszukiwanym, więc go oszukują." Ich zapewnienia pokojowe — to

są istotnie „fałszywe dokumenty“ obecnej doby, których autorstwa przyszłość dochodzić nie będzie.

NIEMCY O GALICYI.

Lwów, w grudniu.

Nazional Zeitung w korespondencyi z Wiednia podnosi bardzo żywotną sprawę galicyjską, która w ostatnich miesiącach była przedmiotem licznych roztrząsań publicystycznych, rozpraw sądowych a niewątpliwie i w sejmie będzie poruszoną. Rzecz idzie o stosunki wzajemne między szlachtą a włościanami Galicyi a za tło i pobudkę służy głośna, niestety, nowela drogowa. Nie brak oczywiście i uwag o rządzie austryackim i o jego opiece nad poddanymi obu warstw społecznych królestwa Galicyi i Lodomeryi.

Nie wiadomo mi, o ile artykuł ten zwrócił na siebie uwagę prasy warszawskiej. Ciekawy on nietylko ze względu, że tu idzie o sprawę bardzo ważną, ale i z powodu wybitnej tendencyi: autor stoi na stanowisku nieprzyjaznem dla polaków wogóle a dla szlachty polskiej w szczególności—nie to zresztą nowego — atoli żywo bierze w obronę lud polski. Objaw to niezmiernie charakterystyczny. Nie zawadzi też zaznaczyć, że artykuł ma pochodzić z Wiednia a ujrzał światło dzienne w gazecie berlińskiej...

Ale posłuchajmy wywodów autora. Galicya, zdaniem jego, to szczęśliwa wyspa, na której jeszcze samowładnie i bez żadnego ograniczenia panuje polskość, istnieją rządy szlacheckie, podczas gdy w Rosyi żywioł polski już jest unicestwiony a w Poznańskiem ulega pochłonięciu przez niemiecki. Wielka własność ziemska w innych ziemiach polskich została sprzedaną obcym lub podpadła konfiskacie, w Galicyi tylko jest w ręku magnatów, jak Czartoryscy, Potoccy, Sapiehowie, Lubomirscy, Sanguszkowie i inni. Ta szlachta polska, do roku 1859 uginająca się pod obuchem administracyi austryackiej, zdołała przypodobać się panującej dynastyi swojem postępowaniem i skutkiem tego posiadła rządy w kraju. Teraz na jej usługi jest urzędnik cesarski (namiestnik), teraz synowie szlachty ze względów polityki a po części z protekcyi zagarniają urzędy i rozmaite ważne posterunki w kraju, w Wiedniu a nawet w innych miastach niemieckich.

W zamian za to polacy głosują w Radzie państwa za budżetem wojskowym bez względu na cyfrę i walczą w obronie rządu, gdy stronnictwa niemieckie chcą ograniczyć te wydatki.

Zresztą konserwatywny i klerykalny sposób myślenia, wstręt do reform wyznaniowych, powierzenie duchowieństwu przeważnego wpływu na szkołę i państwo—oto łączniki, które wytworzyły ścisły związek między koroną austryacką a szlachtą polską, który pozostanie nawet wtedy, gdyby kierunek rządów w Austryi uległ zmianie.

A jednak ta panująca warstwa posiada wroga, którego się rzeczywiście obawia. Nie ma tu mowy o drugiej narodowości, boć naród rusiński bezsilny, bez miłosierdzia powalony o ziemię. Wrogiem tym jest chłop polski.

Dawne, wiekowe cierpienia jego zapisane krwawemi głoskami w historyi polskiej. Dręczony, zdeptany, wyssany bez litości dostał się pod panowanie austryackie. Tu dopiero rozbudzono w nim uczucia ludzkie, dano mu wolność i własność. W ślad za tem obudziła się w nim także świadomość nienawiści przeciw poprzednim ciemięzcom. To też, gdyby w roku 1848 szlachta polska była usiłowała wzniecić powstanie, byłaby na jedno skinienie z Wiednia padła pod kosami rozdrażnionych chłopów.

Na teraz ulegają oni jej panowaniu, bo widzą, że z szlachtą w parze idzie urzędnik cesarski, że panowanie to dzieje się za wolą samego monarchy, którego lud czci bałwochwalczo i w którym od stu lat widzi swą jedyną podporę. Mimo to nieufność do panów nie znikła a na wieść o zamierzonej z ich strony krzywdzie powstaje pomiędzy ludem groźne poruszenie, zatrważające szlachtę.

Powtarza się to co lat kilka. Obecnie znów nadeszła taka chwila.

Oto sejm galicyjski uchwalił nowe prawo drogowe, aby poprawić komunikacyę, iście zawstydzającą. Wedle tego prawa każdy chłop mający pewną posiadłość przez cztery dni w roku odbywa rodzaj pańszczyzny drożnej; powiatowe władze administracyjne miały zestawić listy obowiązanych do prestacyi.

Wiadomość o wprowadzeniu pres'acyi poruszyła chłopów. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że panowie chcą napowrót przywrócić poddaństwo i dawne służby pańszczyzniane. Groźnie zmartwychwstała stara nieufność tem bardziej, że autonomiczne władze, które miały w swem ręku niejako kierownictwo nad prestacyami, są uprzywilejowanem ogniskiem szlachty, która z tego stanowiska kieruje wyborami i obsadza publiczne urzędy.

W maju, czerwcu i lipcu wybuchły niepokoje w różnych częściach kraju. W Tuligłowach i Choropcu, w powiecie rudeckim, potworzyły się bandy chłopskie, stawiające opór przeciw wprowadzeniu nowego prawa. Sprowadzono żandarmów. Tłum chłopów z kosami rzucił się na nich, tak że musieli dać ognia. Dwóch chłopów zastrzelono.

Podobne sceny powtórzyły się w okręgu horodeńskim, chociaż tu nie przyszło do rozlewu krwi. W jesieni przerzucił się ruch w okolice Rzeszowa, gdzie na pomoc potrzeba było zawczwać oddziały wojska i ostatecznie dla przełamania oporu rozkwaterowano żołnierzy po domach chłopskich. Następnie powstały rozruchy i w innych stronach, a dla ich uśmierzenia okazała się konieczną egzekucya wojskowa.

Nareszcie wziął tę sprawę pod obrady klub polski (w Wiedniu). Panowie polscy uznali jednak, że jest to rzeczą dla ich panowania niebezpieczną cofać się przed tłumami chłopskimi i odwoływać prawo już ogłoszone.

Wobec tego sprawa pójdzie swoją drogą. Niedawno przed sądem w Samborze stawało 49 chłopów z Tuligłów, oskarżonych o bunt; z nich uwolniono 47, a dwóch skazano na czteromiesięczne więzienie. Z drugiej strony nie ustają zarządzenia administracyjne. Niema zatem obawy, by owe ruchy mogły przybrać istotnie groźne rozmiary. Są one tylko objawem pełnym przestrogi i groźby dla pyszałkowatej szlachty. Mimowoli przypominają się jej krwawe sceny z roku 1847 (autor oczywiście myl się co do daty lub nie zna wypadków, któ re się działy w r. 1846). Wówczas to, gdy chłopi spostrzegli, że panowie myślą o po wstaniu przeciw rządowi, zgromadzili si tłumnie wśród milczącej a nawet otwarte zachęty austryackich urzędników, podpalil dwory szlacheckie i wymordowali wiel właścicieli wraz z rodzinami.

Uwolnieni w r. 1848 od wszelkich służ pańszczyznianych z woli monarchy, widz

---

2)

Z dziennika Goncourtów.

II.

Poniedziałek, 7 kwietnia. Ciało ludzkie nie jest tak niezmiennem, jak się zdaje. Społeczeństwa, cywilizacye przekształcają jego nagie formy. Kobieta, tak jak ją opisuje antropograf Cranach, kobieta Parmesana i Goujona, wreszcie Bouchera i Coustoua— to trzy okresy i trzy natury kobiet.

Pierwsza z nich, ledwie naszkicowana, o liniach zarodkowego konturu, licho ociosana i wygładzona w swym chudym gotyzmie — to kobieta średnich wieków. Druga, swobodnie rozkwitła, wydłużona i smukła, pomimo swej wyniosłej wielkości, z zakrętami i zaokrągleniami arabesków, z kończynami jak konary Dafny — to kobieta odrodzenia. Ostatnia mała, tłuściutka, szczebiotliwa, cała w dołkach i podbródkach — to kobieta XVIII wieku.

13 lipca. Męką, katuszą, torturą życia literackiego jest płodzenie. Począć, tworzyć: w tych dwóch wyrazach mieści się dla pisarza cały świat bolesnych wysiłków i cierpień. Z owego nic, z owego zalążkowego embryonu, jakim jest pierwsza idea książki, zrobić *punctum saliens*, wyciągnąć z głowy jeden po drugim wszystkie wypadki, stanowiące osnowę powieściową, rysy charakterów, intrygę, rozwiązanie, słowem stworzyć całe życie tego maleńkiego świata, ożywionego przez was samych, wyklutego z wnętrzności waszych i stanowiącego romans! Co za praca! Jést to tak samo, jak gdyby się miało w głowie kartkę białego papieru i pokrywało ją nieokreśloną i nieczytelną bazgraniną... A ile tam ponurych upadków ducha, ile rozpaczy bezdennych, ile wstydu przed samym sobą, gdy się uczuwa swoją bezsilność w żądzy tworzenia. Obraca się i obraca swój mózg, a mózg brzmi odgłosem pustki. Próbuje się i przesuwa rękę po czemś, co jest wyobraźnią... Mówisz sobie, że nic nie potrafisz zrobić i że już nic nie zrobisz nigdy. Zdaje ci się, że jesteś *próżnią*.

A jednak myśl jest tam wabiąca a niepochwytna, jak piękna czarodziejka, złośliwie ukryta w obłoku. Wszystkiemi siłami gonisz własną ideę; szukasz bezsenności, w nadziei, że w gorączce nieprzespanej nocy spłynie na cię szczęśliwe natchnienie; wszystkie struny swojego mózgu ściągasz do jednego punktu, że omal ich nie zerwiesz. Coś już zabłysnęło ci na chwilę, lecz wnet uciekło i padasz na nowo, bardziej zmęczony, niż gdybyś wyszedł z druzgocącego napadu... Ah! W mroku wyobraźni szukać tak po omacku duszy książk i nie znajdować nic, trawić godziny na kręceniu się w kółko, zstępować w siebie sa mego i nic stamtąd nie przynosić, być za wieszonym myślą pomiędzy dziełem osta tniem, które wydałeś na świat, którego ni przecięta i które jest już dla ciebie niczem a dziełem, któremu nie możesz dać krw i ciała—być brzemiennym nicością: oto stra szliwe dni człowieka myśli i wybraźni.

Przez wszystkie owe dni byliśmy w tym dręczącym nastroju. Nareszcie pierwsze za rysy, pierwsza mgła naszego romansu, mło da Burżuazya (*Renée Mauperin*) dzisiejszeg wieczoru ukazała się nam.

Nastąpiło to podczas przechadzki nasz po ciągnącej się za domem uliczce, weiśnię tej między wysokie mury ogrodów. Tchni nie wiatru przeszło niby szmer po wier chołkach wielkich topoli. Zachód słońca j kimś nieokreślonym powiewem ciepła ot lał w dali widniejącą roślinność. Po lew stronie czerniały wielkie masy kasztanów rosnących na Starej Halli; kontury ich statnich liści odrzynały się palczasto, bladawo-złotem tle wieczoru, na podobie stwo drzewiastego agatu, a i z za gęste cienia gałęzi, przeświecały niby gwiaz maleńkie skrawki gasnącego dnia. I książ mają swoje kolebki.

— Czem jest życie? Użytkowaniem skupienia molekuł.

chłopi w nim swą siłą podporę i opiekę. To też biada szlachcie, gdyby wówczas (w roku 1848) była zrobiła choćby najlżejszą próbę ku wywołaniu buntu poza obrębem miast lub ku restauracyi obalonej szlacheckiej rzeczypospolitej.

Widać z tego wszystkiego, kończy autor, jak mało pewnem jest w Galicyi panowanie szlacheckie i jak mało żywotności miałoby szlacheckie państwo polskie, gdyby tak dzisiaj powstało ze swych ruin dzięki jakiejś łasce losu. Jakiegoż istnienia mogłoby się ono spodziewać w Galicyi, gdyby nie znajdowało poparcia pod opieką popularnej dynastyi, gdyby nie czuło w pobliżu, jak teraz, armii wielkiego państwa, czuwającej nad jego bezpieczeństwem? W Polsce pod panowaniem ruskiem rząd wziął również w obronę chłopów, tak że szlachecka własność prawie zupełnie im ustąpić musiała, a rząd liczy na chłopów jako na najsilniejszą podporę swego panowania. Oceniając postawę polskiego stronnictwa szlacheckiego, należy te okoliczności mieć na oku.

Powtórzyłem dość szczegółowo osnowę artykułu. Zdaje mi się, że to berlińskie *Mane, Thekel, Phares* dla polskiej szlachty zasługuje na uwagę. Nie brak w niem prawdy, chociaż zaprawionej zjadliwemi wycieczkami. Nie idzie tu zresztą, ściśle biorąc, o szlachtę, jako taką, lecz naprzód o właścicieli ziemskich, a następnie o całą t. z. inteligencyę. Nieufność włościan do klasy inteligentnej, do „surdutowców" istnieje niewątpliwie. Czas zabrać się radykalnie do jej usunięcia, czas popracować rzetelnie nad oświatą ludu, pomyśleć o pouczeniu go o prawach i obowiązkach społecznych. Sprawa noweli drogowej, to tylko jeden odłam w łańcuchu najrozmaitszych kwestyj społecznych, będących u nas na porządku dziennym. Ale jeżeli będący u steru zajmują się jedynie wyższą polityką w Wiedniu i nie mają czasu do załatwienia piekących spraw u siebie w domu, a reformy niecierpiące zwłoki odkładają *ad calendas graecas*, zdarzy się przykrzejsza od Tuligłowskich rozruchów niespodzianka, aby się sprawdziło stare przysłowie: „mądry polak po szkodzie."

Leszek.

BADANIA NAUKOWE.

RZECZ O SOCYALIZMIE.

II.

Przechodząc do Marksa, p. T. zatrzymuje się nad „genialnym młodzieńcem" (Lassalle wystąpił na pole agitatorskie, mając trzydzieści kilka lat!). „Zwodnicza legenda ozdobiła zgon zmarłego w kwiecie młodości (lat 38!) koroną męczeńską;" lekceważył on „umysłową wyższość klas oświeconych;" doradzał „zawładnięcie" „rządu" i „przysądzenie" potrzebnych robotnikom sum ze skarbca publicznego; założył towarzystwo robotnicze, „w którego łonie wylęgła się idea Międzynarodówki" — i wiele innych zdań nasuwają myśl, iż autor nie przywykł do liczenia z wypowiadanym sądem. Lecz szczytem ustępu o Lassallu jest zwrot, który zbyt łączy się z całością, ażeby go uważać za zmyłkę drukarską: „Ponieważ skarb państwowy zasilony został przez klasy zamożne w formie podatków pośrednich" — tu następują liczne „przeto;" czemuż więc Lassalle tak obstawał za podatkami bezpośrednimi (od kapitałów, gruntów itd. w miarę ich wielkości) i za zupełnem unicestwieniem pośrednich (np. od soli, spirytusu itd.) i dlaczego jego poglądów trzymają się wszystkie partye ludowe? — tę zagadkę pozostawiamy p. T. do wyjaśnienia.

Przechodzimy do Marksa. „Wydalony z granic Niemiec jeszcze przed 1846 r." (w 1848 redaguje w Kolonii *Rheinische Zeitung*!) „zamieszkuje odtąd" w „Londynie." Wyłożeniu jego teoryi poświęcił krytyk aż — $1\frac{1}{2}$, krytyce zaś $\frac{1}{2}$ stronicy, bo „trudno jest już dzisiaj powiedzieć coś nowego." Jednakże p. T. powiedział wiele — nowego, i Marks, gdyby żył i przeczytał wykład swych poglądów, przekazałby go potomności, jak sumiennie obchodzi się a nim krytyka. Co więcej, p. T. przytacza nawet „dosłowny" ustęp z Marksa: „Jądrem wartości jest praca; miarą wartości jest czas poświęcony pracy," dziwić się tylko wypada, skąd go wyrwał, gdyż stoi w sprzeczności z całą teoryą naukową *Kapitału*. Wprawdzie w tem dziele mówi się ciągle o pracy i czasie, lecz z przydatkiem tylko dwu słówek: „niezbędne-społecznie," zmieniających wszakże zupełnie postać rzeczy. Sądząc z wyłożenia Marksa, ośmielam się twierdzić, iż krytyk, w swej historyi i krytyce roszczeń socyalistycznych nie zadał sobie pracy poznajomienia się nawet z tym badaczem i, co więcej, poprzestał na streszczeniu bardzo niesumiennych lub dorywczych streszczeń! Tylko nieznajomości przedmiotu ze strony p. T. można przypisać twierdzenie, iż „Marks jest daleko mniej jasny, mniej stanowczy co do praktycznych sposobów uorganizowania społeczeństwa w przyszłości;" badacz ów bowiem stanowczo ogranicza się do krytycznego rozbioru istniejącego porządku „zamiast pisania recept dla przyszłości," która w jego oczach tworzy się nie pod wpływem idej i świadomości ludzkiej, lecz odpowiednio do form prawnych, wymaganych przez rozwój sposobów produkcyi; książka jego ma na celu jedynie wykazanie najmitom, czem jest ekonomicznie dzień dzisiejszy, i dostarczenie im haseł krytycznych. Obowiązkiem p. T. było zapoznanie się bliższe z odpowiednią stroną poglądów Marksowskich, jako tkwiących w podwalinie programów społeczno-demokratycznych, co liczą w samych Niemczech 600,000 wyborców. Gdyby zresztą p. T. poznajomił się chociażby z *Kapitałem*, wykreśliłby potężną część czynionych zarzutów lub zmieniłby ich postać. Dowiedziałby się, że według Marksa pomyślność warstwy robotniczej zależy od rozwoju kapitału (co nie wyklucza zwiększenia ucisku i wyzysku); nie wychodziłby przy krytyce kolektywizmu z indywidualnej, lecz ze społecznie-niezbędnej pracy; nie zarzucałby Marksowi, iż przy „wytwarzaniu" kapitału oprócz pracy „ręcznej" uczestniczą inne czynniki; nie mówiłby, iż ów badacz „nie przyznaje jednostce prawa posiadania budynków, maszyn itd., a w posiadanych widzi rodzaj rozbójniczego łupu," gdyż ten uczony na własność prywatną patrzy jako na konieczną kategoryę historyczną, uniezbędnioną przez istniejące sposoby produkcyi, którą się rozbiera naukowo, lecz której zbytecznem jest wymyślać. Przekręcono również udział Marksa w Międzynarodówce i jej dzieje — dość, iż nadano w niej autorowi *Kapitału* nigdy niepiastowaną godność prezesa!

Taką jest znajomość ze strony p. T. najwybitniejszych badaczy naukowych krytykowanego obozu. Nie należy się dziwić, iż w rozbiorze tegoczesnych kierunków błąka się jak w zaczarowanym jakimś lesie. „Czerwony" (chyba czarny!) sztandar anarchii

---

— Męką człowieka, żyjącego myślą, jest gonić za Pięknem, a nie mieć nigdy jasnej, stałej i pewnej świadomości Piękna.

19 października. Chcę zanotować jedno słówko, które powie o żydach wszystko, które objaśni rodowód ich bogactw, ich potęgę, ich szybkie wspinanie się w górę w tym wieku grosza. Mirès opowiadał Saint-Victorowi, że w szkole żydowskiej w Bordeaux, gdzie się wychowywał, nie wyznaczano wcale nagród za rachunki, gdyż wszyscy byliby na nie zasłużyli.

Wobec tego odkrycia blednie nawet głębokie zdanie starego Rotschilda: „Na giełdzie są chwile, że, by módz wygrać, trzeba umieć mówić po hebrajsku!"

Sobota, 8 listopada. ...Z kolei przyszedł na stół About, potem Lamartine, potem książę Broglie: „About — twierdzi Sainte-Beuve — to facet, co robi cały tom z rzeczy, godnej najwyżej jednej stronicy. Jego romans o nosie — wiadomo wam przecie — to epigramat na Woltera, przypominacie sobie pewnie... Tak, tak, upewniam was, że Lamartine ma talent. Pisze płynnie, niewymuszenie. Ale, ale, dopiero co mowa była o księciu de Broglie i utrzymuje ktoś, że to ładny umysł:

— Tak, ładny umysł, ale podrabiany — zakończył.

Podczas obiadu podniecał nas subtelny gawędziarz, subtelny znawca literatury rozmową o sztuce. Jeździł później naoślep, wychwalał Eugeniusza Delacroix, jako malarza filozoficznego, rozwodził się nad wyrazistością głowy Hamleta w obrazie jego: „Hamlet na cmentarzu"; ale tę tyradę brutalnie prawie przeciął Gavarni wykrzyknikiem: „Co! ekspresya! Ale pan przecież możesz postawić głowę Hamleta na głowie grabarza i *vice versa.*"

Po obiedzie wzięliśmy się do palenia, co widząc Sainte-Beuve, rzekł: „Nie palić — jest to w życiu wielki brak. Jest się zmuszonym zastępować tytoń rozrywkami bardziej naturalnemi... te jednak nie towarzyszą nam do samego grobu."

A wyrzekł to z uśmiechem żalu i melancholią libertyna.

Gdyśmy w piękną lecz chłodną noc wracali drogą wersalską, Sainte-Beuve w swym paltocie szarym, rozpiętym i płowym surducie — ma wogóle słabość do kolorów jasnych, młodzieńczych, wiosennych — idąc krokiem nerwowym jakimś i gwałtownym, zabawia nas opowiadaniem o akademii, która, jak utrzymuje, nie jest tem, za co ją mają.

Jest on z nią w dobrych stosunkach, pomimo wszelkie figle, które, jak sam wyznaje, płatał jej. Namiętności polityczne miały przez lat dwadzieścia czas ułożyć się. Drobne ich recydywy powtarzają się wprawdzie od czasu do czasu, ale nie trwają długo.

— Nie masz, jak de Broglie. Wiecie, nie witamy się z sobą wcale. Musicie wiedzieć, że to się zdarza w familijnem kółku Akademii. Od sześciu miesięcy jest nas całkiem ośmiu. Gdy niema Villemaina, zdarzają się posiedzenia, które się rozpoczynają o wpół do czwartej, a kończą o trzy na czwartą. Gdyby tam nie było człowieka pomysłowego—a takim jest właśnie Villemain — nicby już z tego wszystkiego nie było. On stawia kwestye. On sporządza filuterny protokół. Jest tem, czem Patin dla dykcyonarza, nie czyni tego dobrze, ale coś czyni, a bez niego nie robiłoby się nic. To nie wypływa ze złej woli Akademii, ale z jej ignorancyi. Któregoś dnia, z powodu wyrażenia „chapeau des fleurs" de Noailles wyrwał się, że to wyraz nieznany, że go nie spotkał nigdzie. Bo nie czytał Teokryta — ot co! I tak samo ze wszystkiem... Gdy chodzi o książki, o nagrody, przychodzą do mnie. Pytają się, co to jest takiego. Cóż chcecie, muszą się uczyć?.. Od dziesięciu lat nie poznali ani jednego nowego nazwiska... A następnie Akademia jednego srodze się boi, oto boi się cyganeryi literackiej. Jeśli człowieka nie widzieli w swych salonach, nie chcą go znać. Lękają się go. On nie z ich świata... Myślę, że Autran ma szanse. Jest to kandydat z kąpieli morskich. Poznali się z nim u wód. Posiada majątek. A zresztą pochodzi z Marsylii. Ma za sobą Thiersa, Migneta, Lebruna, trzech braci prowansalskich, którzy na

powiewa obok Bismarka, Gladstone kuma się z le Playem, mało znany agitator Guesde znalazł się wśród ojców kolektywizmu, Schäffle stąpa obok George'a, i nawet Mill ujrzał się w tem dobranem towarzystwie. Czem jest anarchizm i o jego związku z bankructwem drobnomieszczaństwa autor nie ma pojęcia i ani słówkiem nie napomknął o takim myślicielu, jak Stirner; Schäfflego uznał nie za sprawozdawcę, lecz za szermierza planów, wyłożonych w *Kwintesencyi*; nie zrozumiał ruchu chrześciańsko-społecznego z jego zachowawczością i społecznikostwem cechowo-feodalnem, opuścił Kingsley'a i jego współtowarzyszy, nie wspomniał o teoretyku w rodzaju księdza Hitze'go; z indywidualisty skrajnego George'a wykroił socyalistę — lecz dość tego, bo nieskończylibyśmy. Z socyalizmu, jednem słowem, zrobił śmietnisko, do którego rzucił wszystko, co spogląda i nawet nie spogląda błagalnie ku państwu, i w ten zbiór cezaryzmów państwowo-społecznych, społecznikostwa stanowego, krańcowego indywidualizmu drobnomieszczańskiego i anarchistycznego, kolektywizmu demokratycznego wymierza te same pociski, jak gdyby stanowiły jednolitą wiązankę. Ponieważ wszakże różne kierunki owego śmietniska są nawzajem wrogie aż do nieprzejednania, zdarza się, iż p. T. całemi stronicami przytacza argumenty, daleko zręczniej wystawione np. przez społeczną demokracyę. Zwłaszcza nie ma autor najmniejszego pojęcia o dwóch najważniejszych prądach — społecznej demokracyi i anarchizmie a charakter prądów społecznych, cechowo-feodalnych, zupełnie przekręcił (jedynie cezaryzm społeczny może się poszczycić większą znajomością); że społeczna demokracya wyłoniła całokształt wysoce charakterystycznych poglądów historyozoficznych, z którymi liczą się i godzą najpoważniejsi przedstawiciele nauki urzędowej, mianowicie iż rozwój ludzkości idzie drogą przemian kończących się kataklizmami, odpowiednio do zapanowania w społeczności nowych a wydatniejszych sposobów produkcyi, i że postęp kategoryj prawnych, własnościowych itd. kroczy w zależności od strony ekonomicznej, człowiek zaś w historyi jest atomem bez wpływu: że anarchizm wychodzi z twierdzeń biologicznych Haeckla, Spencera i jest jedynie krańcowym manchesteryzmem ekonomicznie, krańcowym darwinizmem społecznym prawnie i etycznie; że społeczna demokracya tylko dlatego zwraca się ku państwu, iż to daje sposobność wprowadzania najmitów w arenę walki politycznej itd. itd., o tem p. T. nie nie wspomina. Co więcej, nietylko nie zadał sobie pracy poznajomienia się z przeciwnikami, lecz nie zużytkował tak poważnych zarzutów, które czyni np. Ferri (w dziale *Criminalità et socialismo*). Natomiast bawi się w zbijanie niemożliwości równego podziału majątków, o czem już Schäffle powiedział, że to jest godne tylko kmiotrów małomiasteczkowych!

Zatrzymaliśmy się jedynie nad niektórymi ustępami części I. Lecz podejmujemy się na żądanie wykazać chociażby w II, iż połowa zdań, przypisywanych socyalizmowi przez p. T., tyczy się czasów przedpotopowych i nie nie ma do czynienia z teraźniejszością, lub jest pokręcona albo błędna, że połowa zarzutów przeciwko „śmietnisku" jest przeprowadzoną z większą siłą przez niektóre grupy jego. Podobnie lekkomyślnie napisanej książki dawno nie spotykaliśmy; biorąc się do pracy, autor czerpał widocznie z jakichś dziesiątych rąk. Dzieło robi wrażenie, jak gdyby posiłkowano się skrawkami i fejletonami z czasopism. P. T. uczynił literaturze rzeczywistą szkodę; zamiast poznajomienia rzetelnego z różnymi prądami społeczno-reformacyjnymi i dostarczenia społeczeństwu oręża do skutecznej krytyki, wprowadził je na manowce nieistniejących faktów, przekręconych zdarzeń i wymierzonych gdzieś w pustą przestrzeń zarzutów. Wyrok to bardzo surowy, lecz podpisujemy go bez wahania — w społeczeństwie naszem, tak ubogiem wiedzą i sumiennością, powinniśmy tem usilniej domagać się, ażeby pisarz znał przedmiot, o którym rozprawia.

Ludwik Krzywicki.

NOWA TEORYA UCZUĆ.

II.

Taka jest doniosłość pewników, na których autor oparł całą swą teoryę. Poznajmyż teraz, co stanowi jej główny wątek. W ogólnych swych zarysach da się ona przedstawić w sposób następujący:

„Człowiek — powiada autor — jest zbiorem niezliczonych pierwiastków, połączonych w liczne systemy tak, że ten sam pierwiastek może po kolei wchodzić w skład wielu naraz systemów. Systemy te ze swej strony są pierwiastkami w odniesieniu do obszerniejszych, w których skład wchodzą. Tą drogą dochodzi się nareszcie do osobowości, która, rozważana w swym całokształcie, byłaby systemem najobszerniejszym, gdyby organizacya człowieka była zupełną, gdyby nie przedstawiała ogromnego braku spójności. Systemy podrzędne nie łączą się w wyższy i dlatego, zamiast wiązać się z sobą i układać do wspólnego działania, przeszkadzają sobie najczęściej i wzajemnie się paraliżują..." Każdy z tych systemów, będąc natury odruchowej, jest podstawą pewnej dążności (tendance). Powstrzymywanie, zahamowanie (arrêt de tendance) owych dążności daje początek wszelkiego rodzaju uczuciom i wzruszeniom. Powstają one w trzech wypadkach: „gdy panująca dążność rozbudza systemy albo części systemów psychicznych, które nie są z nią należycie uporządkowane; gdy zachodzi brak uporządkowania między systemami lub ich częściami jednocześnie działającemi i z równą siłą; gdy nareszcie brakuje pewnych pierwiastków psychicznych, które są konieczne dla harmonii czynności umysłowej."

Wypływają stąd wnioski następujące:

a) „Uczucie, jako uczucie, samo przez się nie istnieje; towarzyszy ono dążności i zależy od systemu, którego ostatecznem zadaniem jest ruch."

b) „Przyjemność i przykrość i wogóle każde uczucie nie mogą być uważane za przyczynę działania, gdyż właściwie dążność do działania poprzedza zjawisko uczuciowe i jest jego przyczyną."

Dzieło swe kończy autor następującą uwagą: „Przyzwyczajono się uważać uczucie, jako władzę szacowną, oznaczającą wyższość umysłową. Dość będzie na to odpowiedzieć, że pewne właściwości, które w stanie bardziej posuniętego rozwoju byłyby wadami, są zaletami w stosunku do obecnego stanu człowieka. Uczucie jest właśnie jedną z takich własności. Bywa ono nierzadko znamieniem zaczątkowej organizacyi dążności wyższych, zawsze przecież oznacza, że te dążności wyższe nie są zupełnie uorganizowane. W ten sposób osobnik, doznający uczuć, będzie wyższym pod względem złożoności od tego, w którym dążność, nie istniejąca nawet w stanie zaczątkowym, nie zdolna jest spowodowa-

głowach staną, by go wyforytować na akademika.

Cechę rozmowy Sainte-Beuva stanowi jej urok i drobny kaliber. Niema tam wcale wzniosłych idei, niema wyrażeń szerszych, niema owych obrazów, co to odrazu odsłaniają całą postać. Wszystko tam jest wyszlifowane, drobne, zaostrzone, jest to deszcz maleńkich frazesów, które malują zwolna przez nagromadzanie i układanie szczegółów. Jest to rozmowa bystra, dosyć dowcipna, ale nie bogata w treść, rozmowa, której nie brak wdzięku, złośliwości, szponów ukrytych w aksamitnej łapie, jak u kota; rozmowa wreszcie, która nie jest rozmową mężczyzny w wyższym stylu.

1 grudnia. Idziemy podziękować Sainte-Beuve'owi za jego artykuł w *Constitutionelu* o *Kobiecie osiemnastego wieku*.

Sainte-Beuve mieszka na ulicy Montparnase. Drzwi albo raczej drzwiczki — tak są małe — otwiera nam guwernantka, kobieta lat czterdziestu, z postawą i miną nauczycielki z porządnego domu. Wprowadzają nas do salonu, wyklejonego tapetami barwy granatowej, z meblami wyściełanemi i krytemi czerwonym aksamitem, w stylu Ludwika XV, roboty tapicera z dzielnicy Łacińskiej. Jest to salon mieszczański, uroczście chłodny, przypominający bardzo salon domu Rempart dla panów z magistratury. Światło tam wpada smutne i wątłe z niewielkiego ogródka, okolonego wysokim murem, przedzierając się przez wyschłe i zczerniałe sploty winogradu. Po schodach krętych dostajemy się do pokoju Sainte-Beuve'a, położonego tuż nad salonem. Wchodząc, widzisz tam łóżko nakryte kołdrą edredonową, nawprost — dwa okna bez firanek, zaś po lewej stronie dwie szafy do książek, mahoniowe, w stylu Odrodzenia, pełne tomów oprawnych w półskórkę; w pośrodku pokoju stół, zawalony szpargałami, a w kątach, naprzeciw biblioteki, stosy dzienników i broszur, chaos, kopanina jak przy przeprowadzce, słowem, wygląd numeru hotelowego, zajmowanego przez benedyktyna.

Zastajemy Sainte-Beuve'a rozzłoszczonego, niewiadomo czemu, na *Salambô*; wścieka się i pieni urywanemi zdaniami: „Przedewszystkiem to nie do czytania... Następnie to tragedya... W końcu to coś z ostatniego klasycyzmu... Bitwa, zaraza, głód; byłoby dobre do wstawienia w jakiś kurs literatury... Istny Marmontel, Florian, czy co u djabła!" Przez jaką godzinę może, pomimo wszystko, cośmy przytaczali w obronie książki (należy bronić kolegów przeciw krytykom) spluwał, wymiotował swoją lekturę, unosząc się dziecinnym, komicznym niemal gniewem.

Rok 1863. 29 stycznia. Kłamliwe frazesy, dźwięczne wyrazy, szumna blaga, oto mniej więcej, co napotyka się u wszystkich polityków i mężów stanu naszego czasu. Same rewolucye, czyli zwyczajne rugowanie i wprowadzanie na nowo tych samych ambicyj, zepsucie, świństwa pozostawione w lokalu porzuconym — a to wszystko robi się z pomocą kasy i wielkich wydatków.

Moralności politycznej ani śladu. Szukanie dokoło siebie jakiego zdania bezinteresownego, lecz nadaremnie. Narażają się i kompromitują dla samych widoków przyszłej posady, poświęcają się dla tego stronnictwa, w którem spodziewają się znaleźć przyszłość. Takimi są wszyscy ci, których widuję. Jeżeli jaki senator wyznaje zasady zgodne z jego pensyą, to i przyjaciel mój*** ma prawo być stronnikiem Orleanów, albowiem ma coś w rodzaju obietnicy, że zostanie czemś, gdy oni odzyskają tron. W każdej partyi jest zaledwie dwu lub trzech waryatów, dwu lub trzech entuzyastów za darmo, a jeżeli przypadek zdarzy, że się z nimi zetkniecie, byłoby prawdziwą nadzwyczajnością nie spostrzedz, że to są naiwni.

To wywołuje z czasem rozczarowanie, wstręt do wszystkich rodzajów wiary politycznej, tolerancyę dla wszelkiej władzy, zupełną obojętność namiętności politycznej, którą odnajduję u wszystkich kolegów-pisarzów, zarówno u Flauberta jak u siebie samego. Widzisz, że nie warto umierać za żadną sprawę, że należy żyć z wszelkim nadarzającym się rządem, choć-

żadnego zjawiska uczuciowego; niższym atoli jest on pod względem spójności i jedności od tego, u którego dążność jest o tyle uorganizowaną, że ta wykonywa swą czynność swobodnie, kończąc się ruchem bez wywołania zaburzenia, czyli uczucia."

Zanim wypowiem swe zdanie o całej tej teoryi, muszę wprzód zastanowić się nad tem, w jakim stosunku zostaje uczucie do myślenia i do woli w pojęciu autora. Stosunek uczucia do myślenia jasno wykrywa się ze słów, które już powyżej przytoczyłem: „Zjawisko rozumowe, myślenie, jest wskazówką lekkiego zaburzenia, braku usystematyzowania względnie nieznacznego; gdy tymczasem zjawisko uczuciowe jest wyrazem zaburzenia głębszego, większego braku usystematyzowania i harmonii." Co więc powiedzianem jest o uczuciach, to samo ma się rozumieć i o myśleniu, a mianowicie, że myślenie, jako myślenie, samo przez się nie istnieje, że zależy ono od systemu, którego ostatecznem zadaniem jest ruch; że przyczynę jego tak samo jak i uczucia należy upatrywać w powstrzymaniu dążności (arrêt de tendance). Co się tyczy stosunku uczucia do woli, o tem żadnej w dziele autora nie znajdujemy wzmianki i dla wyjaśnienia zagadki musimy udać się po informacyę do innego jego dziełka, pod nagłówkiem: *Physiologie de l'esprit*. Znajdujemy w niem następujące twierdzenie: „Wola nie istnieje, ani jako zjawisko proste, ani jako złożone, składające się z pierwiastków, od których byłoby czemś różnem." Że autor i w ostatniem swem dziele pozostaje wiernym powyższemu zapatrywaniu na wolę, dowodzi tego fakt, że nie spotykamy się w niem nawet z wyrazem wola.

W jakimże stosunku zostają myślenie i uczucie do świadomości? Że autor nie uważa świadomości za zjawisko samodzielne, lecz tylko za własność istotną myślenia i uczucia, wykazuje się to ze słów jego: „Każdy fakt świadomości przedstawia się nam, jako skutek powstrzymania dążności."

Jeżeli świadomość jest skutkiem powstrzymania dążności, więc od tych dążności jest ona zależną, jako od swej przyczyny. Jakże to zapatrywanie pogodzić z następującem twierdzeniem autora: „Próbowano wytłomaczyć stosunek zjawisk umysłowych do fizycznych w ten sposób, że chciano w nich upatrywać dwie strony, dwa objawy tej samej substancyi. Tłomaczenie ma tę wadę, że nic nie tłomaczy, jak to się zwykle dzieje, gdy wprowadzamy do swych rozumowań pojęcie substancyi. Doświadczenie i indukcya wykazują nam, że dwa są szeregi zjawisk równoległe: jeden z nich stały, drugi objawia się tylko w pewnych warunkach i bywa często przerywanym. Jeżeli bowiem zjawiska świadomości — myślenie i uczucie — są równoległemi do fizyologicznych, to rzecz prosta, że od nich zależeć nie mogą, nie mogą być ich skutkiem.

Takie są zapatrywania autora na całość zjawisk psychicznych. Zastanówmyż się teraz dokładniej nad jego teoryą uczuć. Ścisłego określenia i rozgraniczenia ich nie znajdujemy. Ponieważ P. nie uznaje woli za zjawisko samodzielne i objawy jej rozdziela między myślenie i uczucie, przeto w klasyfikacyi uczuć, podanej przez niego w najogólniejszych podstawach, znajdujemy fakty, które zazwyczaj odnosimy do objawów woli. Do takich naprzykład należą namiętności.

Przykrość i przyjemność nie stanowią, podług autora, istotnych cech uczucia, gdyż są uczucia obojętne. Potrzeba organiczna, albo też nabyta, zaspokojona zupełnie, daje początek uczuciu obojętnemu; niezaspokojona — przykremu; nie zupełnie, ale prawie zaspokojona — przyjemnemu. Główną zaś przyczyną powstawania uczuć, przyczyną, do której wszystkie inne dają się sprowadzić, jest, jak to już wiemy, powstrzymanie dążności.

Czemże jest owa dążność? Jest to odruchowa czynność organów. Jest ona także faktem psychologicznym, ale nieświadomym — faktem stałym i niezmiennym, nie zaś, jak myślenie i uczucie, przygodnym, zależącym od warunków przejściowych.

Źródłem uczuć nie jest sama czynność organów, jak to utrzymuje teorya fizyologiczna, ale dopiero powstrzymanie tej czynności. Jak to należy rozumieć? Sprowadziwszy rozumowania autora ze sfery abstrakcyjnej na grunt pojęć konkretnych, myśl jego da się przedstawić w sposób następujący: Człowiek w każdej chwili życia otrzymuje naraz mnóstwo wrażeń, które pobudzają właściwe sobie organa do czynności, będących natury odruchowej. Stąd powstają w nim różne dążności, których zadaniem jest odpowiedni ruch mięśniowy, mający te dążności zaspokoić. Pomiędzy temi atoli dążnościami jedna zazwyczaj posiada więcej energii, niż inne, dzięki pewnym warunkom, jakie w danej chwili istnieją w organizmie, dla tego też powściąga ona ich czynności, zatrzymuje je w stanie zaczątków, ale przez to samo i sama doznaje powstrzymania. W ten sposób powstaje uczucie główne, któremu towarzyszą dodatkowe, wynikające z zatrzymania dążności słabszych. Wszystkie te uczucia, powstałe bądź razem, bądź w pewnem następstwie w skutek działania panującej dążności, kojarzą się z sobą i tworzą uczucia złożone. Że taki ma być początek uczuć, dowodzi tego fakt powszechnie znany, że czynności, które w początkach swych bywają już to przykre, już przyjemne, w miarę, jak stają się automatycznemi, tracą coraz bardziej charakter uczuciowy i w końcu są zupełnie obojętnemi. Dzieje się to właśnie skutkiem tego, że czynność jakaś, zanim stanie się nawyknieniem, musi pokonywać różne dążności organiczne, które z powodu jej występują i utrudniają jej zadanie, jakiem jest ruch mięśniowy. Dopiero, kiedy te różnorodne dążności zostaną pokonane i usunięte, czynność dokonywa się swobodnie, nie doznając żadnego oporu i powstrzymania.

Teorya ta pozornie jest bardzo trafną; gdy atoli wejdziemy w głąb rzeczy, przekonamy się, że jest paradoksem dość zręcznie umotywowanym i że przykłady, za pomocą których autor usiłuje ją objaśnić i udowodnić, są po większej części naciągnione do zasady z góry powziętej. Przyjmować za źródło wszystkich zjawisk umysłowych powstrzymanie dążności, jest to samo co twierdzić, że przyczyną wszystkich zjawisk fizycznych jest tarcie. Przy pewnej biegłości dyalektycznej można i tego dowieść.

Wychodzi to na jedno, co powiedzieć: że, gdyby człowiek posiadał tylko rdzeń pacierzowy, móżdżek i inne ośrodki, będące organami czynności automatycznych, toby nie doznawał uczuć i nie myślał; ale że ma on nadto i mózg, który wywiera wpływ hamujący i powstrzymujący na ośrodki automatyczne — dlatego właśnie myśli i doznaje uczuć. Gdy tymczasem mózg dlatego wywiera wpływ na ośrodki automatyczne, że myśli i czuje, że świadomie, w widoku pewnych celów, jakie mu uczucia nastręczają, kojarzy z sobą w jeden system działania oddzielne odruchy, które z czasem, przy ciągłem powtarzaniu, tak ściśle łączą się z sobą, że stanowią nierozdzielny szereg ruchów odbywających się automatycznie bez udziału w nich mózgu.

---

by najbardziej dla ciebie antypatycznym i nie wierzyć w nic zgoła, prócz jednej sztuki, i nie wyznawać nic, prócz literatury. Reszt. wszystko fałsz i łapki na głupców.

14 lutego. Pyszne są te nasze obiady sobotnie. Rozmowa dotyka każdego i każdy spowiada się po troszę...

Nogent-Saint-Laurens, który je dziś razem z nami, a który jest członkiem komisyi obradującej nad własnością literacką, oświadcza, że jest za jej ciągłością — zdanie, przeciw któremu powstaje z wielkim zapałem Sainte-Beuve, wołając:

— Dosyć jesteście wynagradzani przez sławę i rozgłos... Ale człowiek piszący powinien mówić: bierzcie, bierzcie... Zaprawdę i tak za wiele szczęścia, gdy się jest wziętym!

A Flaubert, który lubi stawać na biegunie przeciwległym wygłoszonemu zdaniu, wtrąca:

— Co do mnie, gdybym ja był wynalazł kolej żelazną, nie chciałbym, żeby ktokolwiek wchodził do wagonu bez mojego pozwolenia.

Na to Sainte-Beuve zirytowany odpowiada:

— Własność literacka takie same licho, jak każda inna... Precz z własnością... Niechaj wszystko się odnowi, niechaj pracuje każdy...

Z tych kilku słów, pochodzących z najskrytszej i najszczerszej głębi serca, widać, że Sainte-Beuve dotrzymuje jeszcze ślubu rewolucyi i zdaje nam się, że mamy przed sobą postać konwencyjną niwelatora, człowieka, który dla wieku XIX żywi nienawiść Rousseaua, tego Jana Jakóba, do którego jest nawet trochę podobny fizyologicznie.

Wówczas, nie pamiętam kto rzucił w rozmowę imię Wiktora Hugo. Na to imię Sainte-Beuve zerwał się, jak gdyby go jakieś zwierzę pod stołem ukąsiło i oznajmia, że to szarlatan, że on to był pierwszym spekulantem w literaturze! Na to wykrzykuje Flaubert, że Hugo jest to człowiek, w którego skórze najbardziej pragnąłby być.

— Nie — odpowiada poważnie Sainte-Beuve — nie, w literaturze nie można pragnąć nic być sobą... można, co najwyżej, przyjąć pewne właściwości kogoś innego... ale pozostając zawsze sobą samym.

I nagle głos jego staje się łagodniejszym, przyznając Wiktorowi Hugo wielki dar wtajemniczania:

— Tak, to on nauczył mię pisać wiersze. On także pewnego razu, w Luwrze, przed galeryą płócien zapoznawał mię z malarstwem... chociaż, swoją drogą, z lekcyj nic mi w głowie nie zostało. Cudowna to organizacya ten Hugo. Fryzyer jego opowiadał mi, że włos w brodzie jego jest trzy razy tak gruby jak u innych i że tępiły się na nim wszystkie brzytwy. Miał zęby rysia, zęby, którymi gryzł pestkę brzoskwini. A prócz tego co za oczy... gdy pisał swoje *Liście jesienne*, wchodziliśmy co wieczór na wieżę kościoła Notre-Dame, ażeby napawać się widokiem zachodzącego słońca, co — między nami mówiąc — nie bawiło mię szczególnie; otóż wyobraźcie sobie, stamtąd rozróżniał na balkonie arsenału kolor sukni panny Nodier.

Ach, zapewne, jest to zdrowie krzepkiego geniuszu; ale bądź co bądź, czy w zamian za uczucia subtelne, za melancholię wytworną, za owe fantazye niecodzienne i tak rozkoszne, wygrywane na drgającej strunie duszy i serca, nic warto — pytam ja siebie — mieć w swej organizacyi jakiś kącik chorobliwy i czy nie jest koniecznem być trochę krzyżowanym fizycznie, tak jak Henryk Heine?

23 lutego. Obiad u Magnego. Charles Edmond przyprowadził nam Turgieniewa, tego szczególnego pisarza, obdarzonego talentem tak subtelnym, autora *Pamiętników ruskiego myśliwca*, autora *Hamleta ruskiego*.

Jest to kolos czarujący, pełen słodyczy olbrzym, z włosami białymi, z miną życzliwego geniusza gór i lasów. Piękny jest, majestatycznie piękny, piękny nadzwyczajnie, z lazurem nieba w oczach i zachwycającą śpiewnością ruskiego akcentu, tej kantyle-

Czy warto było na dowiedzenie takiego założenia poświęcać cały tom najsubtelniejszych rozumowań, wyczerpywać cały zasób wiedzy i tracić czas, który pożyteczniej byłoby poświęcić dla przedmiotu bardziej wdzięcznego? W usiłowaniu autora dowieść swego więcej widać chęci wystąpienia z czemś oryginalnem w kwestyi, o której tyle jest do powiedzenia, niż przekonania o słuszności swych poglądów.

Gdy porównamy jego teoryę z teoryą fizyologiczną, przedstawia się ona nam tak sztuczną, zawikłaną i niejasną, niejasną nie z powodu wadliwej formy, gdyż ta nic pozostawia nic do życzenia, ale z powodu samej myśli zasadniczej, że musimy jej odmówić wszelkiej wartości naukowej. Nie jest ona nareszcie tak bardzo oryginalną. Kto zna teoryę Herbarta, ten przyzna, że pomiędzy nią a doktryną Paulhana zachodzi dość bliskie pokrewieństwo. Znajdujemy w nich nawet te same terminy. W obu powstrzymanie odgrywa główną rolę. Różnica zachodzi tylko ta, że czem u Herbarta są wyobrażenia, tem u Paulhana dążności, że u tamtego powstrzymane wyobrażenie staje się dążnością, u tego powstrzymana dążność daje początek bądź myśleniu, bądź uczuciu; że u tamtego uczucia są następstwem starcia się wyobrażeń, u tego— starcia się dążności.

Na zakończenie dotknę jeszcze dwóch szczegółów.

Powiada autor, że błędnem jest twierdzenie, jakoby uczucia były przyczyną działania; przeciwnie, są one jego następstwem. Każde uczucie jest bezpośrednim skutkiem czynności pewnego organu. Alеż nikt temu nie przeczy; stanowi to właśnie zasadniczą myśl teoryi fizyologicznej, która naturalną podstawę uczuć upatruje w czynnościach organów. Trzeba atoli pamiętać, że co innego jest czynność organiczna, a co innego działanie dowolne, których przyczyną są uczucia. Doznając uczucia, człowiek działa w zamiarze przedłużenia i utrwalenia go, jeżeli jest przyjemnem; pozbycia się, jeżeli jest przykrem. Tak samo rzecz się ma i z uczuciami przewidywanemi, upragnionemi. Właśnie dlatego uczucia stają się przyczyną działania dowolnego, że są one bezpośrednim skutkiem czynności organicznych.

Podług autora, człowiek, w którym dążności organiczne są silne, odznacza się mocnemi i głębokiemi uczuciami; ten zaś, kto posiada te dążności w słabym stopniu, doznaje tylko słabych uczuć i wzruszeń. Twierdzenie to zostaje w rażącej sprzeczności z codziennem doświadczeniem.

Podług autora głównem zadaniem dążności jest ruch mięśniowy. Dążność zatem jest pierwiastkiem czynnym. Silne więc dążności muszą stanowić charakterystyczną cechę temperamentu czynnego, który, jak to powszechnie wiadomo, odznacza się względną obojętnością, uczuciowością słabo rozwiniętą. Tymczasem temperament melancholiczny, którego znamieniem są słabe dążności — usposobienie do działania wątłe — wyróżnia się szczególnej głębokością i trwałością uczuć. Niezgodność twierdzenia autora z faktami ma swe źródło w tem, że, nic uznając woli, jako szeregu zjawisk umysłowych odrębnego rodzaju, zalicza on chęci, pragnienia, namiętności do uczuć. Te zaś rzeczywiście z większą występują siłą i gwałtownością w temperamencie czynnym, niż w melancholicznym.

W. Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWY ZBIÓR PRZYSŁÓW POLSKICH.

Przysłowia, jak pieśni ludowe, są naprawdę „arką przymierza między dawnymi i młodszymi czasy“, bo lud w nich składa „swych myśli przędzę,“ a nić z niej wysnuta służy mu za przewodniczkę życia. Jest to główny kodeks jego moralności i wskazówka postępowania. Kodeks niepisany, lecz przez to właśnie tem głębiej gnieżdżący się w jego pamięci i sumieniu.

Rzecz widoczna, iż chcąc poznać przeszłość narodu, który był dawniej co do inteligencyi tem, czem dziś jest gmin i pragnąc zbadać sam lud dzisiejszy, trzeba przedewszystkiem rozejrzeć się w jego teoryi etycznej, skrystalizowanej w przysłowiach; a na to znowu potrzeba posiadać zbiór ich najzupełniejszy.

Wiele już u nas zdziałano w tym kierunku, ale daleko więcej zostaje jeszcze do spełnienia. Niemcy nas w tem ubiegli i nietylko nas, ale podobno i wszystkie inne narody. Chlubę tę zawdzięczają oni pojedynczemu człowiekowi, nazwiskiem Karol Wander. Prawda że znalazł on gotowe drobniejsze zbiory przysłów; ale zgromadzenie ich w jedną całość, dopełnienie, porównanie z obcemi, umiejętne uporządkowanie i ogłoszenie jego jest zasługą. Poświęcił on tej pracy całe swe życie, a samo wydrukowanie jej w pięciu potężnych tomach zajęło lat siedemnaście (1863—1880).

Zbiór ten zawiera około *trzechkroćstotysięcy* przysłów! Szóstą część tej ilości (50,000) stanowią przysłowia obce, wciągnięte do porównania z niemieckiemi; więc ćwierć miliona przysłów jawi się tutaj jako „przędza myśli,“ ocalona po wielowiekowym żywocie jednego narodu.

Czy i nasz posiada równą liczbę owych ziarn mądrości? Czy może większą? Któż to wie! Z tego, co dotąd zebrano, niczego wnosić nie można. Ale sądząc analogicznie z ilości pieśni, podań i zagadek, domyślać się wolno, że i lud polski nie mniejszym od niemców skarbem przysłów rozporządza. Potrzeba tylko górników, a złoto rodzime się znajdzie.

Dotychczas rolę tę przyjmowali na siebie starsi wiekiem miłośnicy rzeczy ludowych. Kiedy więc czytelnik z tytułu powyższego dowie się o nowym pracowniku, pomyśli sobie zapewne, że jakiś profesor lub urzędnik emeryt, nie mający pilniejszych zajęć, obraca swe jesienne wczasy na amatorskie gromadzenie przysłów i ucinków, tak jak to ludzie zbierają marki pocztowe lub stare rupiecie. Ze zdziwieniem jednakże dowie się, że tym nowym zbieraczem przysłów jest nie staruszek, lecz młodzieniec, nie spokojny o byt swój weteran, ale ciężką pracą na chleb zarabiający „kantorowicz“ i wreszcie nie tak zwany amator, ale świadomy swych celów i metody specyalista.

Pan Samuel Adalberg wydrukował arkusz okazowy swej pracy, pragnąc zasięgnąć zdania i wskazówek mniej lub więcej kompetentnych osób; arkusz ten zawiera przysłowia odnoszące się do wyrazów, poczynających się od A, i zaczepia początek B (do wyrazu *Baranowo*); ogółem mieści się tu już przeszło sześćset przysłów i ich odmianek. A ponieważ w słowniku Lindego wyraz *Baranów* stoi na str. 56 tomu 1, we wszystkich zaś sześciu tomach jest stron 4,724, przeto, opierając się na analogii słownika, otrzymalibyśmy ogólną liczbę przysłów przeszło 50,000. Że zaś niewątpliwie zbiór pana A. jest niezupełnym, więc prawie pewną jest rzeczą, iż suma przysłów polskich znacznie przejdzie 50,000 i może

ny, w której jest coś z dziecięcia i coś z negra.

Wzruszony naszemi owacyami, rychło odzyskał swobodę i rozgościł się. Opowiadał nam ciekawe rzeczy o literaturze ruskiej, która, jak utrzymuje, jest już na dobrej drodze do realizmu, począwszy od romansu, a kończąc na teatrze. Opowiadał nam, że publiczność ruska chciwie czytuje *Przeglądy* i z rumieńcem na twarzy wyznaje, że jemu i jeszcze dziesięciu innym płacą po 650 franków za arkusz. Ale natomiast książki zaledwie się tam opłacają i przynoszą nie więcej nad jakie 4,000 franków.

Na imię Henryka Heinego, wymienione przez Turgieniewa — ponieważ wyrażamy wszyscy uwielbienie dla poety niemieckiego — Sainte-Beuve wpada w furyę i zapewniając, że go wybornie zna, krzyczy, że to nędznik, łajdak, lecz na ogólne *tolle* biesiadników, zamilka i zakrywa się dłońmi, których przez cały czas trwania tej chwalby nie odejmuje od twarzy.

A Baudry przytacza owo piękne zdanie Heinego, wyrzeczone na łożu śmierci. Gdy żona u boku jego modliła się do Boga, by mu przebaczył, poeta przerywa modlitwę, mówiąc: „Bądź spokojna, moja droga — przebaczy mi; to przecież jego rzemiosło.“

1 marca. Jest to ostatnia niedziela Flauberta, który wyjeżdża do Croisset, ażeby na nowo zagrzebać się w pracy.

Wchodzi jegomość niklej powierzchowności, szczupły, szorstki, z rzadką brodą, okiem zasłonionem binoklami; ale postać jego trochę skupiona w sobie, nabiera życia, gdy zaczyna mówić, a spojrzenie nabiera wdzięku, gdy cudzej mowy słucha. Głos ma przyjemny, a z za warg widać podłużne zęby, jak u starej angielki. To Taine, uosobienie z krwi i kości krytyki współczesnej, krytyki jednocześnie uczonej bardzo, bardzo rozumnej i bardzo często mylnej nad wszelkie wyobrażenie. Zostało w nim coś z profesora wykładającego lekcyę. Tego się pozbyć niepodobna, ale pozostałości uniwersyteckie wynagradza wielka prostota, zadziwiająca łagodność w obejściu i wyraz grzecznego poszanowania dla innych, właściwego ludziom dobrze wychowanym.

Gdyśmy mówili o tem, co opowiadał wczoraj Turgieniew, że mianowicie, jeden tylko człowiek jest teraz popularny w Rosyi — Dickens, że od roku 1830 nasza literatura nie wywiera już tam żadnego wpływu i że wszystko zwraca się ku romansom angielskim i amerykańskim, Taine odzywa się, iż co do niego, to jest pewien, że przyszłość spotęguje jeszcze ten ruch, że wpływ piśmienniczy Francyi będzie się stopniowo zmniejszał *), że od osiemnastego wieku posiada Francya we wszystkich gałęziach umiejętności godnych uwagi ludzi, coś niby piękne czoło armii, ale po za tem nic, po za tem niema wojska; że tak się zawsze dzieje z prowincyą i z Paryżem teraźniejszym... Poczem dodaje: Hachette nie chce wydać przekładu Mommsena i ma słuszność. Obecnie drukuje się w Niemczech nowe wydanie dzieł Sebastyana Bacha: na tysiąc pięćset zapisanych abonentów, zaledwie dziesięć przypada na Francyę...

— Flaubert opowiadał nam dziś, że gdy był dzieckiem, do tego stopnia zagłębiał się w czytanie książek, gryząc język i okręcając na palcu kosmyk włosów, że aż razu pewnego spadł z krzesła. Innym razem skaleczył sobie nos, padając na szklanne drzwi szafy z książkami.

Był dzisiaj u niego młody student medycyny (Pouchet), który zajmuje się badaniem tatuowanych. Mówił on nam o szczególnych, odkrytych przez siebie centkowaniach. Na łonie dziewczyny z pół światka znalazł dewizę: *Wolność, równość, braterstwo*, a na czole zbrodniarza—legendę pesymistyczną: *Nie ma widoków.* (D. n.)

*) Nigdy przepowiednia nie była bardziej fałszywą, albowiem w żadnej epoce książka francuzka, jaką jest romans, nie miała w Europie takiego popytu, jak właśnie kilka lat później. Wogóle filozofowie, jak wykaże to dalszy ciąg niniejszego dziennika, zdają mi się posiadać specyalność wróżb, które się nigdy nie ziszczają.

dosięgnie, jak u Wandera, cyfry ćwierćmilionowej.

Powiedziałem, że uważam zbiór pana A. za niezupełny; sam autor też nie twierdzi, żeby zgromadził wszystko: podaje on tylko okaz tego, co dotychczas zrobił, wcale nie ustając w pracy dalszego gromadzenia; bardzo być więc może, że, zanim przyjdzie do drukowania zbioru naprawdę, objętość jego znacznie się zwiększy. Lecz i w obecnym jej stanie jest to już, śmiało rzec można, zbiór imponujący rozmiarami, daleko większy od wszystkich dotychczasowych razem wziętych. Mówię to nie bezpodstawnie, bo z przytaczanych w arkuszu źródeł widać, że autor wyzyskał wszystkie drukowane, a dołożył nadto sporą ilość z rękopisów i ze słyszenia.

Metoda, której się p. A. trzyma w układaniu przysłów, jest zupełnie naukowa, używana w najlepszych tego rodzaju zbiorach francuzkich i niemieckich, mianowicie Wandera. Polega ona na następnej zasadzie.

Wyróżnić trzeba najważniejszy, znamienny wyraz przysłowia i umieścić takowe pod głoską, od której się wyraz ten zaczyna. Tak np. jeżeli dane jest przysłowie „lepiej umrzeć, niżeli się bać,“ to rzecz oczywista, że sygnaturą, że tak powiem, jego piwinien być wyraz *bać się*, więc się je umieści w szeregu abecadłowym pod *bać się*.

Są zdarzenia, gdzie więcej jest wyrazów charakterystycznych, niż jeden. W takim razie przysłowie zamieściéby należało w dwóch lub więcej miejscach. Tak np. weźmy przypowiastkę „baba, żaba, kaduk trzeci, rodzone dzieci“; oczywiście przysłowie stosuje się zarówno do *baby*, jak do *żaby* i *kaduka*, więcby się znaleźć winno dwa razy jeszcze, pod *żaba* i pod *kaduk*. Lecz toby ogromnie powiększyło zbiór cały, bez żadnej widocznej korzyści. W takich więc zdarzeniach postępować można dwojako: albo ponumerować wszystkie przysłowia po porządku i jeżeli np. wyżej przytoczone znajdzie się pod nr. 125, to pod wyrazami *kaduk*, *żaba* dodać: patrz nr. 125, albo zamieścić na końcu zbioru spis abecadłowy wszystkich wyrazów znamiennych i przy każdym umieścić inne wyrazy, wskazujące przysłowia, gdzie ten wyraz się znajduje. Nie wiem, jaką drogę obierze sobie autor w przyszłości; pierwsza, choć technicznie trudniejsza, dogodniejszą by była, zdaniem mojem, dla czytelników.

Niektóre przysłowia wymagają wyjaśnień historycznych, językowych i t. p. Dobrze i krytycznie je obrobić, rzecz wcale nie łatwa. Ile wnosić można z próbki, pan A. umie sobie i w tej najtrudniejszej części zadania dać radę: komentarze jego są prawie zawsze trafne, zwięzłe, trzeźwe i poparte dowodami.

Uważam to za zaletę zbioru p. A., że nie pomija wariantów pomysłów, które, choć drobne i często bardzo liczne, pomijanymi byćby nie powinny, bo nie posiadamy kryteryum, według którego mierzylibyśmy wartość odmianek: każda jest równie dobrą, równie zajmującą, a nieraz z kilku dopiero wariantów ocenić można prawdziwe znaczenie przysłowia. Nie pomija też autor i takich przysłów, któreby raczej nazwać należało obrazowymi zwrotami mowy, wyrażeniami przysłowiowemi lub inaczej, jak np. „stary Adam,“ „amator kwaśnych jabłek,“ „jak amen w pacierzu,“ „czarny anioł“ itp.; niepomijanie tego wydaje mi się zupełnie słusznem, bo przeprowadzenie granicy pomiędzy przysłowiem właściwem, a wyrażeniem przysłowiowem jest nader trudnem i te ostatnie najwłaściwiej w zbiorach przysłów miejsce znajdować powinny.

Są w każdym języku przysłowia... nieparlamentarne; tych, zdaniem mojem, nie należałoby wciągać do zbioru ogólnego, bo chociaż ze stanowiska naukowego wszystkie są równie dobre i ważne, ale przez wzgląd, iż nie wszyscy by go jako źródło tylko naukowe traktowali, okazałaby się potrzeba chowania skarbca przysłów pod klucz ojcowski. Dla uniknienia tej konieczności, pożądanem by było wydzielenie z ogólnego zbioru przypowiastek nieprzystojnych i wydrukowanie ich w oddzielnym dodatku.

Tak więc wkrótce posiadać będziemy możliwie zupełny zbiór porządnie ułożonych i krytycznie wyświetlonych przysłów polskich. Życzymy szanownemu zbieraczowi wytrwałości w pracy, a nam jaknajprędszego skorzystania z jej owoców.

Jan Karłowicz.

LITERATURA POLSKA.

Poezye Konstantego Leona Kaszyńskiego. Warszawa, 1888.

Zewnętrznym wyglądem zbiorek ten bliźniaczo przypomina znane już z nader obiecujących tytułów pisma pp. Londyńskiego, Korwina - Chełmińskiego. Autor jednak zdaje się po raz pierwszy wstępuje na Parnas.

Krytyka brukowa w nagrodę odwagi odrazu zrzuciła go z tych wyżyn, umieściwszy natomiast pomiędzy ofiarami dżokejsko-mostkowego dowcipu. Taka już dola wszelkich pierwocin, nieopromienionych głośną firmą. Warto jednak bez pretensyi do podobnego trójnoga i tonu Pythyi, ów wyrok sprawdzić. P. Kaszyński miewa niewątpliwie chwile boskie, uwieńczone takimi np. wybuchami:

Myśli moje bujne, dumne!
Wyście dały mi być — w niebie!
Lecz je piorun strącił w trumnę
I mą pychę — w proch już grzebie?
Bo zuchwałych myśli czara,
Co do głowy dumnie leżą,
To sen tylko, tylko mara,
A istotną jest syntezą:
Objawiona święta wiara.

...Jakim sposobem myśli mogą być czarą, a czara włazić w głowę, to już pozostanie zagadką poety. Posiada on klucz do wielu tajemnic, wie także, kto otacza tron Przedwiecznego: Kopernik, Keppler, Brache, Galileusz, Karol Boromeusz, Newton, Rejtan, Kato, Konfucyusz, Schiller, Plato. Puszkin i „nasz Adam“ i — jak stąd widać — potrafi smacznie przyrządzać groch z kapustą dla amatorów świeczek i ożogów. Niekiedy rymy p. Kaszyńskiego wołają o pomstę do wszystkich wymienionych tu świętych. Oto próbki:

On się prosił, oni zbili
Go i później powiesili. — (str. 97)

albo też:

Czy wiesz mateńko? rozpacze te
Tak mi w serduszku zrobiły źle, itd. -- (105).

Gdzieindziej znów matka prawi córeczce, która nakarmiła żebrzącą dziewczynę — perorą na temat rozmaitych cnót. Długa, dosyć zresztą rzewna spowiedź dziecka z miłosiernego uczynku, ni stąd ni zowąd kończy się w poemaciku (*Zabij go wzgardą*) takim na pokusy egzorcyzmem:

...Jeśli rozpuści harce zawzięte,
Aby podeptać, co ci jest święte...

Gdy się nie cofnie przed cnotą wstecz;
O! wtedy, wszelka słaba łza — precz!
Ty groźna, wielka, niby kolumna,
Zabij go wzgardą — zimna i dumna!

Wyraz „podeptać“ błędnie określa to, co grozi dziewicom, a „cofnięcie się wstecz“ może nastąpić tylko przed czemś bardziej dotykalnem, niż cnota *in abstracto*. Gdy zaś cofnięcie się nie nastąpi, jak przewiduje wiersz, wtedy za późno będzie stawać się kolumną i zabijać wzgardą. Podobnież w tłomaczonym (jedynym zresztą) fragmencie Andrejewa „matka dziecięciu proch zmiata z lic.“ Jeśli te przytoczone zwroty wyobrazić sobie jako garstkę maleńką okazów z kategoryi bardzo licznej u p. Kaszyńskiego — to można wytworzyć sąd o całej młodości muzy jego.

Z tem wszystkiem nie stoi ona niżej krytyki. Zazwyczaj aspiranci do stanu poetyckiego zaczynają od bardzo górnych lotów, tak zrozumiałych dla nich samych i nieszczęsnego czytelnika, jak hieroglify, p. Kaszyński zaś idzie dołem, wybiera przedmioty proste, jak niedola, głód, zbrodnia i kara. Śpiewa w tonie niemal ludowym, językiem często chybionym, ale dosyć mile prostaczym, jak gdyby specyalnie przeznaczonym dla mas. Jest tam trochę zanadto morałów, ale bajka wszędzie bezpretensyonalna, dostępna. Albo opowiada w formie niby dramatycznej losy dwóch złodziejów: ojca i syna, w sposób dydaktyczny, jednak dosyć żywy; albo każe żałować chłopcu zgłodniałemu, iż nie jest małpą ze zwierzyńca, opychaną przez gości łakociami; albo wreszcie maluje uduszenie dziecka przez uwiedzioną i opuszczoną w nędzy dziewczynę. Tematy niewyszukane, ale okraszone pewną dozą uczucia. Rzekłbyś, że to ułożył jakiś „pisarz“ z *Gazety świątecznej*, zwyczajny chłop-samouczek, któremu zachciało się pomoralizować trochę swych braci mową bogów. Stąd tu i owdzie nienajgorsze strofki:

Ha, ha, synuś szumny, dumny,
Niepotrzeba dlań jest trumny,
Co starego próżno więzi!
On, jak orzeł u gałęzi
Ej, uczepił się wysoko!

tak woła oszalała matka na widok syna powieszonego przez chłopów; a pauper z pod Bagateli skarży się:

Hojnego dla małp pana — kilka dni gdy poszczę —
Proszę skromnie o wsparcie, myśląc, że łzę otrze.
On nie da nic i wrzeszczy na mnie: idź precz łotrze!
Cóż więc w tem jest dziwnego, że małpom zazdroszczę?

i że, choć ma chęć do pracy, nie mogąc jej znaleźć, pragnie zostać czyjąś nadworną małpą. O oficrze zalotów gacha czytasz:

Legła bez zmysłów, niewiasta zemdlona,
Z własnem dziecięciem, zduszonem—u łona,
Głód i ból — związek stargały serdeczny.

Cóż teraz powie porządek społeczny?..
Z kodeksem w ręku, z surowem obliczem,
Skarci zbrodniarkę przykładnie, jak trzeba.
Skarć ją, z sumieniem niewinnie dziewiczem,
Żeś jej nie podał i dziecięciu — chleba!

Z tych powodów ostateczną konkluzyą autora jest:

Czy tylko mojej krwi młodej żar,
Świat ten przyodział — we wdzięk i czar!
A gdy krew zziębła — starość dowiodła,
Że ziemia cała brudna i podła!?..

Raz jeden poeta odrywa się od sfery naiwno prostaczej i zabawia w fantazye kosmiczne, szybując, rozumie się we śnie, po niebiosach; na wstępie podane urywki świadczą wprawdzie, iż to raczej maligna była niż zdrowy sen, ale i tym razem *naturalność* obrazów łagodzi w wielu miejscach ujemność wrażenia. Np. „Różnobarwnych tęcz szkarłaty, przetykanych w świetne zorze, rozwiewają się w przestworze, jako boże, święte szaty. Meteory i komety, na tych bożych sukien ściegu, upinają w szybkim biegu gwiazdy mlecznych dróg — w bukiety. A z oblicza (Boga) święta, cenna aureola lśni promienna! Z której boskich barw pochodnie, jako Pański dar bogaty, płyną jasno i pogodnie w nieobjęte myślą światy.“ Te i inne podobne przebłyski niechorobliwej twórczości; akcent ludowy, pewna żywotność pomysłów i dar rymowania powinnyby ocalić p. Kaszyńskiego przed bezwzględną szykaną, świadcząc, iż utwory je-

go nie składają się z samych tylko plew — i że mógłby być niezłym *popularyzatorem* poezyi.

Cezary Jellenta.

NOWE KSIĄŻKI.

J. Karłowicz *Podania i bajki ludowe*, zebrane na Litwie. Kraków 1887, str. 124.

Tytuł książki wyraża jej treść. Mieści ona w sobie 80 kilka bajek (niektóre z odmiankami) rozmaitego stopnia wartości poetycznej. Są między niemi w pomysłach dość słabe, ale są także fantazyą bogate, wszystkie zaś stanowią ciekawy materyał etnologiczny, którego zbieraniem i opracowywaniem szan. autor tak dobrze zasłużył się nauce.

T. M. Plaut *Komedyj* pięciu parafrazy przez J. I. Kraszewskiego. Złoczów 1888, str. 219.

Jest to jeden z wielu dowodów tytanicznej pracy naszego olbrzyma. I przy tej książce pytać musimy: kiedy on znalazł czas na to? Przedmowa nas objaśnia: w więzieniu, w Moabicie. Przerobił (w wolnym przekładzie) komedye: Samochwał, Pasorzyt, Trojak, Rozbitki, Koszyk.

A. Wrześniowski *Zasady zoologii*. Warszawa 1888, str. 451. Gebethner i Wolff.

Książka ta jest dla literatury naszej bardzo pożądaną, a nazwisko autora, profesora uniwersytetu poręcza nam jej wartość naukową. Na wstępie znajdujemy stosunkowo dość obszerny (128 str.) wykład wiadomości anatomicznych i fizyologicznych o budowie i ustroju zwierząt. Później idą ich opisy w uporządkowaniu systematycznem. Tekst objaśniony 499 rysunkami.

Dante Alighieri *Boska komedya*, przekład A. Stanisławskiego. Kraków 1888, str. 731.

Jedna z najruchliwszych dziś, krakowska księgarnia Żupańskiego i Heumana puściła w obieg obfity szereg przedruków, oznaczywszy niektóre z nich wspólnym tytułem „Nowej biblioteki uniwersalnej.“ *Boska komedya* w przekładzie Stanisławskiego przewyższa tłomaczenie Korsaka jasnością i dosłownością, ustępuje mu tylko artystycznie o tyle, że posiada wiersz nierymowany.

M. Bałucki *Pan burmistrz z Pipidówki* i *Dwie wizyty jego Excelencyi*. Kraków 1887, str. 183.

Dwie te powiastki należą również do „Biblioteki“ Żupańskiego i Heumana, literacko zaś do rodzaju humoresek. Druga zawiera myśl głębszą: przedstawia dwie chwile z życia szlachty galicyjskiej—wstręt do barwy czarno-żółtej i zawzięte farbowanie swych uczuć obywatelskich tym kolorem.

M. Bałucki *Poezye*, Kraków 1887, str. 255. Żupański.

Utwory to odgrzewane i na smak dzisiejszy dość mdłe. Najwięcej ich odnosi się do „miłosnych dziejów,“ opowiedzianych z lekkim humorem, dalej idzie grupa „scherzo,“ czyli wszystkiego potrosze, „obrazy i obrazki,“ powiastka „cicha miłość,“ wreszcie przekłady. Ponieważ Bałucki jest dobrym rymotwórcą, ale nie poetą, więc może najlepiej udały mu się tłomaczenia.

FEJLETON.

PO ŚWIECIE.

II.

Koniec roku jest jak dno butelki: nastraja wojowniczo; trochę soku z cytryny, a wzburzenie wietrzeje. Tym razem jednak coś na wywietrzenie się nie zanosi, bo już na wszystkich wystawach księgarskich rozłożono piękne mapy, a te, jak wiadomo, pojawiają się przed wojną, niby fotografie skazańca w przeddzień egzekucyi. Skazańcem dziś biedna Europa. Komu nie wypada się smucić— to nam; przyszła wojna to jedyny środek przemycenia geograficznych pojęć o nas za granicą. Bo czyż nie rozczulające, że już angielskie i hiszpańskie pisma malują graniczne rogatki pod Radziwiłłowem, a poczciwe francuziska uczą się wymawiać: *Tszenstoszowa* (Częstochowa)?..

Kupiłem zatem i ja śliczną, nowiutką mapę i patrzę na te kolorowe linie zwane granicami? Czemu takie różnobarwne? Czemu nie malowane szkarłatem, kolorem krwi ludów. Kiedyż znikniecie wy fałszywe linie z oblicza map? Nastrojony tak melancholijnie chodzę myślą po myślach wielkiego człowieka, któremu też zygzaki map wydały się obrazą natury: po *Myślach* Pascala. „Trzy stopnie bliżej bieguna wywracają całą jurysprudencyę. Zasadnicze wierzenia zmieniają się; prawo ma swoje epoki. Zabawna sprawiedliwość, którą ogranicza jedna rzeka lub jedna góra. Prawda z tej strony Pyrenejów, błąd z tamtej.“ Lub gdzieindziej: „Dlaczego mię zabijasz?“ „Cóżto? czy nie mieszkasz z tamtej strony wody? Mój przyjacielu; gdybyś mieszkał z tej strony, byłbym mordercą i byłoby niesprawiedliwie zabijać cię tak ohydnie; lecz skoro mieszkasz z tamtej strony, jestem dzielny a mój czyn sprawiedliwy.“ A chcecie znów wiedzieć, co jest historya i kto ją układa i jak znaczną rolę grają ludy na sfałszowanych kartach ksiąg i map? Słuchajcie: „Gdyby Kleopatra miała była krótszy nos, zmieniłaby się cała postać ziemi.“ Nie, nic; zmieniłoby się tylko na mapach barw kilka: Antoniuszowie mają swoje dzieje, ludy swoje.

Poglądam więc na kartę moją i widzę naprzód linię zieloną—kolor nadziei—określającą duży, duży plat; tuż niżej linię żółtą, kolor wycieńczenia, tworzącą jakąś postać zwierzęcia z grzbietem, głową i łapą wysuniętą nad morze. Inna linia zaznacza jej nieładne utycie od strony podbrzusza; tłomaczę sobie, iż chce tem symbolicznie powiedzieć, że jest *przy* nadziei. Myślałem nad rozwiązaniem kwestyi i rozwiązałem ją — w bajce, przypomniawszy, że my wszystkie ważne zagadnienia rozwiązywaliśmy... bajecznie. Owo ona:

Na bębnie dwie pałki
Ruszyły w przechwałki:
— „Ja silniejszy—moje prawo!“
— „Ja silniejszy—moja wola!“
Naparły się na dwa pola
I poczęły dudnić żwawo.
— „Memu prawu sprzyjasz bębnie?“
— „Sprzyjasz bębnie mojej woli?“
Bęben myślał coś odrębnie,
Bo jął wołać: „Aj, aj, boli!“

Gdyby choć z trzeciej strony skrawek mój miał jaśniejsze horyzonty; ale nie: styka się tam z sąsiadem oblamowanym modrą barwą: to kolor habru, cesarskiego kwiatu; kolor oczu germanek i kolor ich pończoch, *blue stockings*, których Byron tak nie lubił, to symbol wreszcie drugiego niebieskiego państwa, kędy człowiek jest machiną. I jaką machiną! Powiedziano z góry: Każda twa myśl i każdy twój czyn nie twoje, ale kraju, kraj też nie twój, ale cesarski. Ty będziesz wojownikiem, to jest, ołowianą lalką; ty uczonym: dowiedziesz, że Szekspir był germanem i Kopernik germanem; dowiedziesz, że cała cywilizacya poszła od dolichocefalów jasnych; Achilles jasnowłosy—germanem; Victor Hugo germanem... czyż nie świadczy o tem nazwisko? Przedewszystkiem masz wyświawiać ślepo wielkość naszej wiedzy i naszej literatury i naszej sztuki; głupi polak np. przewyższa nas niejednem: fantazyą, wrażliwością, estetycznym smakiem; któż o nim słyszy? Nikt, bo co tam głowa zrobi, to krytyka zje. Francuz przewyższa nas utylitaryzmem umiejętności. Któż jednak powie, że umiejętność jego wyższa? Tak cię cenią, jak cię liczą, a nasz lipski rynek liczy corocznie setki i setki tysięcy. Liczba — to rozum. Obrzydłe *Liczy-Kruppy!*..

Wzrośliśmy wbrew naturze prędko; nawet nasz punkt ciężkości usadowił się wbrew naturze. Berlin miasto w środku w jednym kącie państwa, jak szyldwach, nie jak król; lub jak pająk. Jak rozwiązać ten problem mechaniki: przeniesienie stolicy do środka? I rozwiązują go od lat 17: rozszerzmy granice od Wschodu; Berlin znajdzie się w środku z miejsca nie ruszany. I ruszyła cała banda pionierów w postaci fabrykantów, inżenierów, kupców, zarządców, urzędników. Co zdziałali — wiemy. Równocześnie poświęcenie wyciskanych w podatkowej prasie rodzimych knedli nie ma granic; kanclerz powie: niemcy, potrzeba naszemu cesarzowi pół miliona wojska zaraz jutro; pół miliona stanie; niemki, potrzeba nam milion za lat 20 — i patryotki rodzą „silnych chłopców“ i „silne dziewczęta,“ nawet „pyszne dziewczęta,“ jak możecie co dnia czytać po dziennikach w ogłoszeniach familijnych. Wprawdzie przy milionie chłopców rodzi się dwa miliony zbytecznych dziewcząt — ale i te znajdą zajęcie w narodowej sprawie. Jedne szwaczkami przyszywają guziki do mundurów, drugie w charakterze bon i mamek „szwajcarek“ spieszą do Francyi; tak gotowy w każdym domu szpieg. Robotnik socyalista pod hasłem idei braterstwa jest naturalnym wrogiem francuza; gdy tamten potrzebuje dziennie 5 franków, ten zadowalnia się dwoma; tak przemysł niemiecki zabija konkurencyą sąsiada. Ach! to braterstwo! W czasie ostatnich wyborów po rozwiązaniu niemieckiego parlamentu krążyły we Francyi w socyalistycznych sferach listy subskrypcyjne na cele wyborcze — i francuziska dawali pieniądze.

Lecz spieszno mi do tego cudnego kraju, ograniczonego w naturze trojgiem mórz i trojgiem gór, na karcie zaś fioletową barwą, barwą skromności (o ironio!) i — zgniłego mięsa (o Zolo, patronie symbolizmu!). Jeżeli chcecie wiedzieć, który naród w dziejowej kolei jest najbliższy upadku, szukajcie go zawsze między najweselszymi. Jak szalenie tańczy Paryż a za nim cały kraj w dzikiej sarabandzie! Jedyny cel życia — miłość; jedyny środek [illegible]ści — pieniądz. Nie jakoby miłość była sprzedajna sama przez się: i owszem, idealniejsza ona tam niż gdzieindziej; ale potrzebuje oprawiona być w złoto, jedwabne członki układać na gołębich puchach i karmić się słodyczami wschodu. Biada biednemu! więc woli zbrodnię popełnić, niż być wyrzucony za koło. Niedarmo rzeczono, poszukując zbrodniarza: *Cherchez la femme*! Dla niej się zabija i dla niej się kradnie; a w jej oczach to nie przestępstwo, to heroizm. Mężczyzna woła: nie chcę się starzeć; kobiety wołają: niechcemy rodzić; niech się święci miłość bez bólu i opamiętania. Szalonym ubytkiem ludności nikt się tam nie trapi; dla obrony granic?.. — za człowieka armata. Dla zamydlenia oczu statystyce?.. — za francuza cudzoziemiec. Miłość lubieżna, wyuzdana, wynaturzona: mężczyźnie nie wystarcza kobieta, kobiecie nie wystarcza mężczyzna; człowiekowi nie wystarcza człowiek. Sodomickie sekty odprawiają nocami swoje orgie po zaułkach, skąd wywleka je policya wprowadzana na ich tropy głosami zwierząt „wyjących z obrzydzenia.“ Wykrzywiony smak, chimeryczne zachcenia. My na przykład stanowczo wypadliśmy z łaski. W powieści, na scenie polak stał się typem przewrotnym, „brudnym charakterem.“ Wystarczy cofnąć się o kilku dni: w *Souris* Paillerona, w *Affaire Clemenceau* Dumasa obrzygani jesteśmy błotem. Może zechcecie panowie wystawić je na naszej scenie?..

Ot, lepiej nie patrzeć, a obrócić się ku tym Pyrenejom, gdzie Heine szukał Atta

Trolla, którego potomstwo jeszcze dziś na łańcuszkach niedźwiedzików Basków, ludu twarzą i mową nieodgadnionego jak cyganie — ojcowską sztuką wodzi tany na placach brudnych miasteczek, ba, stolicy. Jedyne stworzenia, które „na grobie ojczyzny tańczą“ nie dla swej uciechy. Obwódka żółta — niepotrzebna, bo sama natura oddzieliła kościsty półwysep od reszty świata — oznacza dawną miłość z cesarską orlicą; tylko dziś i lew schudł i orlica wyłysiała; gdzież im do umizgów!.. Biedny kraj, a zabawny: właśnie świeżym dekretem zamienia poselstwa w Londynie, Berlinie, Wiedniu i Rzymie na ambasady, a równocześnie sekwestruje w jednej prowincyi 14,000, w drugiej 6,000 posiadłości za podatki. Ale za to tradycye, tradycye przechowują się święcie: gwiazdkowy indyk, obowiązkowy na każdym stole, lub przynajmniej substytuowany chytrze kogutem i loterya klasyczna. Ha, ha, jakiem się zabawił, czytając w gazecie, że wszyscy ministrowie powygrywali główne losy!.. Nie myślcie, by i „kanalii“ nie sprzyjała fortuna. I owszem; ale odrzuciła jej drobiazg jeno. Sprzedano losów za 25 milionów *pesetas* (franków), wygrane wynosiły 20 milionów; *netto*: 5 milionów zysku. Jakże się nie śmiać z innych rzeczy jeszcze!

W Barcelonie 8,000 robotników urządziło bezrobocie, grożąc ruiną przyszłorocznej wystawie. Codziennie tłumy z chorągwiami odprawiały przechadzki, *vulgo* manifestacye po bulwarach w dyskretnej asystencyi konnych i pieszych policyantów. Chodziło o podwyższenie płacy i zmniejszenie roboty z 9 na 8 godzin. Ostatecznie dziś nastąpiła zgoda; w jakich warunkach. Oto robotnicy rzekli: Patrzcie, jak jesteśmy szlachetni: za 9 godzin płacono nam 16 reałów (4 franki); za 8 godzin wypada 14 ¼ reała; nie prawdaż? Dajcie nam 14 ¼ reała. Wylazło próżniactwo, niby szydło z worka. Za wiele im 9 godzin; cóżby powiedziały na to nasze biedne sieroty z niemieckich fabryk!..

Oskarżysz czytelniku, że wieje ze mnie chłód; ale bo istotnie zziąbłem w palce; w tym niby słonecznym kraju nie znają pieców, ani okien, któreby zatkać można: od balkonu do balkonu chodzi sobie wilgotny, morski wiatr; spieszę więc gdzieindziej, do kraju o barwie nieokreślonej, jak polityka najnowszego ministeryum; tam jedno, co śród wojennych haseł rozróżnić się dało, były okrzyki: „Do Nicy, do Nicy!..“ „Na co?“ „Posadzić w niej naszą piękną Małgorzatkę.“ Bo trzeba wiedzieć, że włosi kochają ogromnie swoją królowę, której imię oznacza odrazu perłę i kwiat.

Słychać jeszcze stamtąd szepty błogosławieństw, ale te bardziej cało doniosą wam pielgrzymi.

Nie stało mi miejsca wyśpiewać nowoczesne cnoty wstydliwej różowym kolorem Brytanii. Uderza mię tylko jedno: Byron mawiał:

> Wszystko jest zmienne w nurcie czasu bystrym
> Prócz — że wig nigdy nie będzie ministrem.

Dziś i wigowie bywają ministrami, liberalni zrzucają nawet jeżowe skóry i oświadczają się za polityką wydziedziczania; niech ich za to dzieje z szacunku ludów wydziedziczą!

Egrot.

LIBERUM VETO.

Deszcz w Wiedniu czyli pogoda polityczna. — Perły opisu uroczystości papiezkiej. — Nad szczytem Himalajów. — Czemu p. Dobrogost płakał. — Brakująca nuta. — Szkoły zawodowe.— Pomnik Mickiewicza.— Karnawał.

Jeżeli z Wiednia — proszę zauważyć — z Wiednia 8 stycznia 1888 roku, (tego roku, który się narodził z ulepszonym karabinem) przychodzi depesza: „Wczoraj i dziś pada deszcz“ — to opinia publiczna może być spokojną a nawet uczuć pewną czczość, taką samą, jaką uczuwa drut telegraficzny, zmuszony przenosić tego rodzaju nowiny. Musi bowiem w świecie politycznym panować pogoda, kiedy prasa zajmuje się deszczem. Wprawdzie redakcye gazet austryackich i korespondenci zagraniczni otrzymali grzeczną prośbę o milczenie i radę zwrócenia głównej uwagi na zmiany atmosferyczne; ale dziś, gdy język reporterów politycznych przerósł języki najgadatliwszych plotkarek, nawet tak grzeczne prośby i rady nie przycięłyby go i nie sparaliżowały przed wielką pokusą do ruchu. W królestwie zatem Janusa istotnie pada deszcz, to znaczy — jaśnieje prześliczna, niczem niezmącona— papieska pogoda.

Tak — papieska. Niebo chciało, ażeby uroczystość jubileuszowa Leona XIII odbyła się bezchmurnie — i oto pierzchły nawet obłoczki wojenne. Ponieważ zaś cała nasza polityka oddawna streszcza się w jednym wyrazie: papież, a ten wyraz święci wielkie tryumfy, odbiera kosztowne dary i korne hołdy, więc prawie rzec można, że nam w duszy jasno. *Prawda* nie posiada w Watykanie swojego przedstawiciela, któryby jej czytelnikom nakreślił obraz jubileuszu, ale inne pisma mają tam niejakiego Dobrogosta, jeśli się nie mylę, szambelana papieskiego, który pod rozmaitemi nazwiskami i znaczkami dmie w kilka trąb sławę „ojca św.“ Nie zbieram marek, pudełek od papierosów, autografów i innych rzeczy godnych przechowania dla potomności; ale zbieram na tem miejscu cenniejsze wyroby owego trzeciego brata z bajki. I tym razem wyjmuję kilka jego pereł z naszyjnika *Kuryera warszawskiego*. Jest to opis „złotej mszy“ papieża. Chrystus nazwałby taką mszę wielką, jego namiestnik nazywa złotą, a p. Dobrogost... słuchajcie:

„Leon XIII niesiony był przez karmazynowych *sediariów* na nositelnym tronie, na którego ponsowym *aksamicie* widać było jeszcze z tyłu wyhaftowany *herb* Piusa IX. *Flabelli*, czyli ogromne *wachlarze*, trzymane stąd i zowąd nad jego ramionami przez pokojowców i urobione z *cudnych strusich piór*, nie były już dawnemi, darowanemi Piusowi VII przez Napoleona I; był to nowy jubileuszowy dar afrykańskiego jakiegoś królika. Ojciec św. nosił na skroniach infułę biskupią, całą od *pereł*, *rubinów* i *szafirów*.“ Rozlega się oklask i krzyki, biskupi i prałaci sykają, ale paradyz i galerye nie milkną a tu i owdzie grzmi: „niech żyje papież-*król*.“ Nareszcie widowisko rozpoczyna się. „Asystent przy lavabo podaje („słudze sług“) *szczerozłotą* miednicę i nalewa wodę na ręce ze *złotego* dzbanka.“ Po skończonej mszy „wkładają mu na skronie potrójną koronę, siejącą migotliwym blaskiem tysiąca *brylantów, szmaragdów, rubinów, szafirów*...“ Niosą go znowu. „I tak podwyższony, wzbity po nad poziom *ludzkości całej*, po nad *wszystkie* ziemskie *szczyty*, nieumierający nigdy Rybitw galilejski, postawiony jest na wyniosłem podnóżu, umyślnie przed kryptą zgotowanem. Chwila ta jest rzeczywiście *nadziemska, niezrównana*, urocza. Wszystko, co żyje, pada na kolana, kłoni czoło, korzy się w prochu. Słychać tylko stłumione westchnienia i rzewny *płacz* pielgrzymów... Na tym postumencie, *moralnie przerastającym wierzchołek Himalajów*, uduchowiona postać papieża panuje nad *całym rodzajem ludzkim*, nad *całym ziemskim okręgiem*, jawnie pośredniczy, jak postać Mojżesza na Horebie, między tą niziną pochylonych czół, a obłokiem, za którym się zniewidził Pan...“

Słowem, w całej tej nowożytnej ewangelii przewijają się ciągle: aksamity, cudne pióra, złoto, brylanty, szmaragdy, rubiny, szafiry itd., jak gdyby ów papież był przedstawicielem bogatej firmy, posiadającej kopalnie drogich kamieni i kruszców, a nie skromnego, prostego, w dobra duchowo zapatrzonego Chrystusa, który nauczał śród rzeszy biednych, bosych prostaczków, dekoracyami gardził i przedstawień teatralnych nie urządzał. „Królestwo moje nie jest z tego świata“ — powtarzał ustawicznie; królestwo moje jest z tego świata — powtarza jego zastępca. To też Chrystusa nie ma w Watykanie, który z Nowego zakonu zapamiętał to tylko, że Piotr zaparł się Mistrza.

Rozumiem, że szlachcic polski, oglądając złote dzbanki i miednice, oślepiający blask klejnotów i kosztownych tkanin, wogóle świetną wystawę, mógł wyobrazić sobie papieża „nad poziomem ludzkości całej,“ „na postumencie *moralnie* przerastającym wierzchołek Himalajów,“ ale czemu ten szlachcic wraz z innymi „rzewnie płakał?“ Oklaski— *à la bonheur*, lecz łzy? Gdybym kogoś ukochanego widział „nad wierzchołkiem Himalajów,“ „panującego nad całym rodzajem ludzkości“ — toż przecie bym się nie martwił.

. . . .

Ażeby nam się w głowie nie zakręciło, zejdźmy na dół, na ten zwykły, o który nigdy nie odbiły się źrenice apostołów noszonych w lektyce i oprawionych w drogie kamienie. Gazety ruskie donoszą, że wkrótce mają być otwarte w różnych punktach państwa szkoły zawodowe. Wiadomość ta nie pierwszy raz wynurza się i nie ostatni tonie, a jednakże musi kiedyś dotrzeć do gruntu stałego, jako logiczne dopełnienie uszczuplonej oświaty gimnazyalnej i jako zadośćuczynienie niezbędnym potrzebom. „W całej prawie Europie — zauważa słusznie *Gazeta polska* — odczuwać się daje powszechny prąd, dążący do reformy systemów wychowania publicznego w kierunku praktycznych zadań życia.“ Prąd ten, skutkiem wyjątkowego uwarunkowania każdej sprawy i skutkiem zarystokratyzowanych dążeń naszego społeczeństwa nie przeniknął go dość głęboko. Korzystając przeważnie lub jedynie z gimnazyów, wychowywaliśmy gromady ludzi albo nieprzygotowanych do niczego, albo przygotowanych do pracy w dziedzinach przeludnionych. Staliśmy się narodem światłym u góry, ciemnym w środku i zdziczałym na dole, narodem adwokatów, lekarzy, nauczycieli, inżenierów, ograniczonego mieszczaństwa i barbarzyńskiego chłopstwa. Podczas gdy synowie biedaków pięli się do uniwersytetów i skończywszy je, nie mieli co jeść, kraj nie posiadał uzdolnionych rzemieślników, oficyalistów wiejskich, przemysłowców itd. Kształcić zaś ich nie mógł i nie może, bo nie znajduje odpowiednich instytucyj. Niektóre pisma usiłowały (teoretycznie) zmonopolizować wyższe szczeble wiedzy dla klas zamożnych i zatamować ruch w tym kierunku ubogich. O ile w tej arystokratycznej socyologii taiła się chęć ograniczenia swobody i utrzymania przedziałów społecznych, o tyle widzieliśmy krętaninę sofistyczną. Natomiast w idei częściowego odwrócenia fal biegnących ku gimnazyom do szkół zawodowych tkwi ziarno myśli zdrowej i dobroczynnej. Ale te szkoły muszą być. Wtedy nastąpi pożyteczny dla kraju rozpływ sił umysłowych po rozmaitych łożyskach, wtedy zapełnią się przepaście i zatrą jaskrawe różnice między stanami, wtedy społeczeństwo wyrówna poziom swej oświaty, a upośledzone i lekceważone gałęzie pracy uszlachetnią i rozwiną. Jeśli zaś rozmyślają nad tem narody niepoprzecinane głębokimi wąwozami, to cóż mówić o naszym, w którym lekarz lub adwokat z wysokiej góry patrzy na rzemieślnika lub kupca i — przyznajmy — często na znacznej wysokości umysłowej względem niego stoi.

Kto wie, czy nasi rzeźbiarze, mając więcej ukształcenia zawodowego, nie zakończyliby już jakim szczęśliwym projektem smutnej sprawy pomnika dla Mickiewicza.

Znowu stanęli do turnieju i znowu zapewne... Ach, boję się prorokować, chociaż z poprzednich doświadczeń wróżba wysnuta gwałtem się narzuca. Ileż to pomników obmyśliła lub postawiła Europa przez czas naszego obrotu w błędnem kole konkursów, obrad komitetowych, mniejszych i większych! A nieraz miała cześć olbrzymów. Ot niedawno Wiedeń krótkim zamachem rozstrzygnął kwestyę pomnika dla Mozarta. A my mordujemy siebie i biednego Mickiewicza w grobie, stojąc ciągle z zamiarem na miejscu i nie widząc kresu splątanych manowców. A jeszcze wobec tych spiętrzonych trudności i przeszkód nie mamy żadnej rękojmi, że w końcu olbrzymia góra nie zrodzi myszy.

Tylko karnawał — krótki czy długi — zawsze nam się udaje. Tu jest wzorowa organizacya, zgoda, wytrwałość, pomysłowość i talenty. *Kuryery* zapowiadają, że w tegorocznych zapustach wszystkie te przymioty zajaśnieją tradycyjnym blaskiem.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kalendarze ludowe. — Stosunek p. Promyka do czytelników. — Przegląd zaradności włościańskiej. — Zadłużeni. — Zbrodniarze herbowi. — Żałobnicy. — Światłowstręt. — Sprzeniewierzenia się p. Witolda Tarczy. — Smutek starego Macieja. — Syn wyrodny i miłość rodzicielska. — Okazowe numery *Gazety lubelskiej* i *Gaz. radomskiej*. — Nasza cielęcość. — Usługa i rada *Gaz. rzemieślniczej*.

Różnica w wartości *Zorzy* i *Gazety świątecznej* jaskrawo się zaznaczyła w kalendarzowych wydawnictwach tych pism. Pierwsza pod godłem: „Boże dopomóż nam!" mniej zrobiła, niżby zrobić mogła. Kalendarz polecony Opatrzności, pełen jest braków. Przeważną jego część stanowią anegdotki, wiersze i powiastki nieszczególne. Mało objaśnień i rad pożytecznych. Pomimo dziewiętnastego roku istnienia, jest niemowlęciem w treści i formie. Nierównie wyżej stoi drugi p. t. „Gość." Pan Promyk, chociaż przejęty również duchem chrześciańskim, więcej ufa w siły własne, niż nadprzyrodzone. To mu pozwala szerzyć skutecznie owoce swych trudów. O ile mu na to starczyło, wzbogacił tegoroczny kalendarz szczegółami, które się muszą zatrzymać z pożytkiem w głowie siermiężnego czytelnika. Znaczną część książeczki zajmuje „Kalendarz pszczelniczy," przystępnie i zajmująco według wskazówek Lewickiego opracowany. Również dobry opis wystawy hygienicznej, zaćmienia słońca i księżyca. Dalej idą treściwe rozporządzenia o poddanych zagranicznych i posiadłościach ziemskich, życiorysy wybitnych działaczów społecznych, zmarłych w ciągu roku, „Zmora," udatna powiastka Grzegorza Brzózki, krótkie rady dla gospodarzy i wiele innych informacyj. P. Promyk umie rozmawiać z ludem w sposób zrozumiały i przekonywający. Dwa artykuły kalendarzowe: „Sprawy gminne i wiejskie" i „Zadłużeni gospodarze," przedstawiają ciekawy materyał nawet dla szerszego ogółu czytelników inteligentnych. We wsi Żurawie (w Lubelskiem) chłopi mieli łąki bardzo niskie i bagniste, które oddzielały chaty od gruntów. Aby dostać się na pola, musieli robić milę drogi. Aż się znalazł między nimi gospodarz, „co lubi czytać gazety i książki pożyteczne." Obmyślił on zasypać stare rowy, niedopuszczające do łąk wody polnej, a pokopać nowe w ten sposób, iżby ta woda nanosiła na niziny muł z górnych miejsc. Z początku nie chciano słuchać tego projektu, ale niezrażony włościanin póty pracował językiem, aż zdołał przekonać całą gromadę. Po dokonanych robotach łąka się podwyższyła o kilka łokci i pokryła tak piękną trawą, jakiej tam nigdy nie pamiętają. Nadto przekopano przez to miejsce rów szeroki, założono go faszyną, pokryto z wierzchu ziemią, co utworzyło łatwy dostęp do pól i sianożęci. Grunty pozyskały podwójną wartość. Zachęceni tem żurawiacy, myślą teraz o oczyszczeniu i pogłębieniu koryta rzecznego, aby w innych miejscach łąk im pod lato nie zalewało. Ta sama wieś ma wygon własny dla bydła i koni, gdzie rosły drobne zarośla brzozowe. Co jesień wycinano je, aż nareszcie znowu znalazł się w gromadzie jakiś wpływowy doradca. Usłuchano go, zrobiono uchwałę, że na wygonie wycinać drzewek nikomu nie wolno, ustanowiono straż, która zagajnika pilnuje przed złodziejami. Prócz pożytku w przyszłości z drzewa pielęgnowanego, rośnie bujniejsza trawa w miejscach ocienionych. Nie dość tego: ciż sami starają się ulepszać gospodarstwa swoje. Przestali orać pola w wązkie zagonki, a robią na nich szerokie „składy" i dobrze na tem wychodzą. Czują też oni poza potrzebami materyalnemi wyższe pragnienia: czytują gorliwie gazety i książki.

Pokrewna z nimi w dobrych czynach gmina Rozwozińska w Płockiem, wprowadziła w czyn szereg pożytecznych uchwał na dorocznem zgromadzeniu gminnem: sprowadzać wspólnym kosztem kilka egzemplarzów *Gaz. świątecznej*. Z powodu odległej poczty, najęto stróża dla przywożenia pism i listów do swego urzędu. Zakupiono zegary dla wszystkich szkół, aby nauka szła regularnie podług godzin itd. Według skrzętnie zbieranych wiadomości przez p. Promyka, jest już dziś w Królestwie 62 gmin, które surowo zabroniły dzieciom palenia tytoniu.

Na świetny sposób wpadli włościanie we wsi Sabanice (w Płockiem) dla pozbycia się i ukarania domowych złodziejów. Skazują przestępcę na wygnanie z pod strzechy rodzinnej, a osadę oddają w dzierżawę. Banita żyjąc z wyrobku gdzieindziej, musi swe winy zmazywać. W gminie Kozłów pod Radomiem zwrócono uwagę na to, że muzyka, grywająca w niedziele i święta w karczmie, przyciąga ludzi na pijatyki i burdy. Dla zapobieżenia temu zakazano grać w dni świąteczne, w przeciwnym razie sołtys ściąga z karczmarza rubla kary, za powtórne wykroczenie—dwa itd. Urzędnik nieprzestrzegający tego porządku, sam musi odsiedzieć dzień kozy. Jeszcze jeden ciekawy szczegół: W gminie Oporowie (gub. warszawska) przekonali się włościanie, że dużo złego wyrządzają żydzi siedzący po wioskach. Zajmują się szachrajstwem, rozpajaniem ludzi itp. Uchwalono więc, aby nikt po wsiach nie przyjmował izraelitów na komorne, nie wydzierżawiał gruntów, domów i wogóle żadnych budynków. Nie stosujący się do tego przepisu, winien płacić kary 40 rs.

Taka jest całoroczna wiązanka dodatniej działalności ludu, dowodzącej ducha samodzielnego w zdrowym organizmie. Pisarz ludowy zrozumiał doniosłe znaczenie grupowania wybitnych objawów życia siermiężnych, które mogą poruszyć i rozbudzić innych, leniwych i śpiących.

Rok ubiegły powszechnie przeklinany za przesilenia ekonomiczne, dokuczył także wielu włościanom, z tą tylko różnicą, że ich niedola nie nabrała rozgłosu. Nieostrożni wpadli w pułapki, z których dotychczas nie mogą się wydostać. Nęciła ich ziemia, więc nie przebierali w środkach jej nabywania, zaciągali od lichwiarzy pożyczki, nabywali w działkach włókowych wielkie majątki ze wszystkimi długami hipotecznymi (z powodu trudności prawnych). Tacy posiadacze przyjmują na siebie charakter nowych wierzycieli, opłacających uciążliwe odsetki. Dawni, straciwszy cierpliwość, wystawiają grunty na licytacyę. Wtedy rozkupnicy tracą pieniądze i ziemię. Położenie właścicieli działek „czystych," zdobytych za pieniądze pożyczone, niewiele się różni. Procenty szybko rosną, za które lichwiarze zabierają za pół darmo zboże, słomę, jaja, kury, gęsi itd., a dług pozostaje długiem. W ostatnich czasach znaleźli się sprytniejsi, korzystający z pożyczek Tow. kredytowego ziemskiego. Od marca do września zapisało się tam około stu włościan.

Nad honorem szlachty litewskiej jakieś fatum zawisło. Ledwie się skończyła sprawa Brzozowskiego, a już znowu sądzono w Mińsku ze współudziałem przysięgłych dwa przestępstwa kryminalne, popełnione przez *rodowitych szlachciców*, Ludwika Witkowskiego i Aleksandra Szpakowskiego. Pierwszy sfałszował dokument na 3,680 rs. i o mało nie wziął tym podstępem pieniędzy z mińskiej kasy skarbowej. Drugi targnął się na życie szlachcica Filipowicza z zamiarem grabieży. Pierwszego skazano do robót ciężkich na lat siedem, drugiego na lat cztery i osiem miesięcy. „Liczne procesy kryminalne, wytaczane osobom klasy uprzywilejowanej, są dowodem coraz głębszego zepsucia w łonie naszego społeczeństwa," powiada p. Jelski. Czy tylko zepsucia? Lampa kopci i swąd wydaje w chwili dogasania. Chciałbym być fałszywym prorokiem w danym razie. Sądzę wszakże, iż najwięksi optymiści przerażają się wzrastającą liczbą żałobników w łonie szlacheckiem. Jeden z nich na Litwie woła: „Serce boli, widząc, co się tu dzieje (w pewnym powiecie)!" Jest tam zaledwie *sześć — ośm* „wyjątków" z pokaźnej cyfry 200 obywateli ziemskich! P. Jelskiemu pewno także serce zabolało, więc przytaczając (w *Kraju*) wykrzyknik swego znajomego, pozostawia domyślności czytelnika zagadkę: „co się tam dzieje?!"

Do wszystkich zagadnień społecznych dorobiono dziś jeden klucz: „ciężkie czasy." Podobno pod jego zgrzytem zrodziła się na Polesiu straszna pośród ludu choroba — światłowstręt. W pow. mozyrskim włościanie wsi Szaryna założyli w r. 1884 szkołę parafialną, która po trzyletniem pomyślnem istnieniu upadła wskutek braku środków. Nie pomogła wymowa miejscowego duchownego. Zgromadzeni chłopi ze starostą (sołtysem) na czele oświadczyli stanowczo, iż grosza na naukę nie wydadzą, bo im niepotrzebna. Urządzili przytem kocią muzykę zachęcającym do oświaty. Czy istotnie nie czuli tej potrzeby? Wątpię. Dowiedli tylko nieświadomie, że gołe słowo nie zawsze grzeje...

Pan Witold Tarcza, obywatel ziemski, ten sam, co doradzał *różdżki czarodziejskie* na chłopów, pryska ironią, chociaż nieśmiałą, na obłąkańców i niewolników najwyższej głowy kościoła. „Narzekamy na biedę — powiada — ale tak źle chyba nie jest, jeśli osoby prywatne mogą posyłać znaczne sumy na podarki; taki kraj musi płynąć miodem i mlekiem." Za to przeciwko nieomylnemu bluźnierstwo prawowiernego dałbym mu rok odpustu dawniejszych grzechów lojalności. Tenże obywatel, wróg chłopów, obecnie interesuje się ich smutnem usposobieniem i łaskawie zapytuje starego Macieja, czemu taki chmurny i zamyślony chodzi, na co zagadnięty odpowiada: Źle panie! Niby to człowiek ma komory pełne i niby mu nic nie brakuje, a jednak ciężko, tak ciężko, że ani siekierą nie utnij. Ludzie o każdą skibę ziemi się dzisiaj kłócą i procesują z sobą, jakby im wieki żyć przyszło. Dzieci jednej matki wyrzucają się wzajemnie z chat dla marnego zagona. Gdzież się podziała miłość rodzinna, wiara i dobroć ludzka? Jak tu nie być smutnym?

Możeby staremu Maciejowi serce pękło, gdyby był świadkiem sceny w jednym z sądów łódzkich. Siedemdziesięcioletnia kaleka wystąpiła ze skargą przeciwko własnemu synowi o obelgi czynne. Staruszka długo znosiła tyranię jedynaka, wreszcie poskromiwszy uczucia macierzyńskie, zawezwała go przed kratki sprawiedliwości. Gdy zażądano od niej zeznań przeciwko wino-

wajcy, rozplakala się i zaczęła prosić sędziego, aby jej dziecku przebaczył. Po dziwnych drogach chodzą uczucia rodzicielskie. W innej formie zdradza je oferta umieszczona w *Dzienniku łódzkim*: biedni rodzice mają do oddania na własność dwoje dzieci, między niemi dziewczynkę sześcioletnią. Czy można potępiać tych ludzi? Nędzarzom, jak waryatom, wiele się przebacza.

Gazeta lubelska na wzór innych wydala z końcem roku okazowy numer z nowelkami, wierszami, aforyzmami. Obok mgławic miejscowych, błyszczą tam gwiazdki warszawskie, ale dość blado. Inaczej być nie może, skoro na prośbę uświetnienia numeru obdarza się kolegów na partykularzu zdawkową monetą od niechcenia.

Pierwszy numer *Gaz. radomskiej* pod nową redakcyą robi przyjemne wrażenie. Treść urozmaicona, staranna, ale barwy okolicznościowej, nie mogę więc jeszcze wnosić, czem się wyróżni pod innem przewodnictwem. W każdym razie życzę jej zupełnego odrodzenia się.

W ostatnich czasach zmienil się także poniekąd na dobre jedyny u nas organ dla rzemieślników. Znać większe ożywienie w treści i ściślejszą łączność redakcyi z czytelnikami. W jednym z numerów rozbiera ważną sprawę: brak sposobu zbytu przedmiotów wytwarzanych przez naszych rękodzielników. Towar nieraz czeka na kupca miesiące i lata i prędzej spróchnieje, niż się doczeka wyczerpania cierpliwości wytwórcy. Na usunięcie choćby częściowe złego jest sposób, tylko że korzystają zeń dotychczas cudzoziemcy i pośrednicy żydzi, posiadający wyżli węch. Wietrzą oni wszystkie publiczne i prywatne licytacye, gdzie zbywają drogo nabyty towar za bezcen. Dla czego nasi skromni wytwórcy służą dotychczas cierpliwie za parobków u niezliczonej czeredy spekulantów? Dlatego, że są to *nasi*, to jest że posiadają w swym charakterze i woli dużo cielęcości. Jednostka producenta skrępowana bywa brakiem gotówki, którą zawsze rozporządza pośrednik. Ale od czegoż są siły zbiorowe? Na zastąpienie węchu jest sposób: dotychczas ogłoszenia o wszystkich licytacyach, dostawach, robione są tylko w dziennikach urzędowych, których rzemieślnik nie czyta i nie posiada. Otóż *Gaz. rzemieślnicza* chcąc dopomódz, postanawia podawać dokładne wiadomości o różnych żądaniach hurtownych robót w calym kraju. Taką drogą pismo wyświadczyć może istotną usługę rękodzielnikom.

Przepraszam *Rolnika i Hodowcę* za podsunięcie mu w poprzednim numerze myśli, które on wydobył z listu „młodego szlachcica (*Kraj*). Ale zawiniliśmy obaj: ja niedomyślnością, on niejasnością wyrażeń. Przyjemnie mi sprostować moją omyłkę tem bardziej, że w kolumnach pism szlacheckich postęp, jak biały kruk, rzadko składa swe jaja. Niechże je *rolnik* pielęgnuje a *hodowca* mnoży.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Mosk. Wiedomosti. rozwijając myśl Katkowa, doradzają następujący sposób zapobieżenia rozruchom studenckim:

„Każdy z uniwersytetów będzie posiadał jedną swoją rotę, albo więcej. Rota taka będzie się składała ze studentów pod dowództwem mianowanego przez ministra wojny sztab-oficera; oprócz tego dla wyuczenia musztry dodana jej będzie pewna liczba podoficerów, oraz doboszów i trębaczów. Każdy student, zapisujący się na uniwersytet, ma prawo zgłosić się o przyjęcie do roty uniwersyteckiej, przyjęcie to jednak może nastąpić tylko po rewizyi lekarskiej i za zgodą naczelnika roty. Roty uniwersyteckie powinny mieć naturalnie oddzielne umundurowanie i zwykłe uzbrojenie piechoty. Służba w rocie ma trwać dopóty, dopóki student jest w uniwersytecie i liczy mu się za istotną służbę w szeregach regularnej armii: czteroletnia służba w rocie uniwersyteckiej powinna uwalniać studenta od odbywania powinności wojskowej po ukończeniu kursów. Rzecz prosta, że przyjętych w szeregi roty studentów obowiązywać musi formalne złożenie zwykłej w tych razach przysięgi, im uroczyściej zaś odbywać się będzie ta ceremonia tem lepiej. Zajęcia wojskowe roty mogłyby odbywać się w godzinach porannych, przed zaczęciem lekcyi, nie powinny jednak trwać dłużej nad półtorej godziny dziennie dla studentów I-go kursu i najwyżej godzinę dla studentów innych kursów. Wyjątek stanowiłyby dnie warty i służby obozowej. We froncie i po za murami uniwersytetów, studenci rotowi podlegać będą wojskowej swej władzy i muszą wypełniać ściśle obowiązki posłuszeństwa i dyscypliny zwykłych żołnierzy; w murach uniwersytetu ulegają zarówno z resztą studentów zwierzchności uniwersyteckiej.

Co się tyczy kar, to z wyjątkiem przekroczeń posłuszeństwa i dyscypliny wojskowej, należących do kompetencyi sądów wojennych, studenci rotowi za złe postępy w ćwiczeniach nie powinni osobiście ulegać surowym karom. Kara powinna redukować się do degradacyi we froncie, zwiększenia godzin warty, pozbawienia prawa noszenia broni oficerskiej i wykluczenia z roty. Przekroczenia zaś, popełnione w charakterze studentów uniwersytetu, powinny być roztrząsane, sądzone i karane zgodnie z przepisami uniwersytetu. Kwestya wykluczenia studenta z roty będzie zależała wyłącznie od naczelnika roty. Student, który uległ wykluczeniu, traci wszystkie prawa i przywileje przywiązane do służby wojskowej, pełnionej na kursach i po skończeniu uniwersytetu musi odbyć służbę wojskową na drodze zwykłej. Służba rot uniwersyteckich, oprócz trzechtygodniowego przebywania w obozie, powinnaby odbywać się publicznie, w oczach całego miasta i wojska.“

ZAWIADOMIENIE URZĘDOWE.

Prawit. Wiestnik donosi:

„Na sprawozdaniu najpoddanniejszem o stanie guberni siedleckiej za r. 1886, wniesionem z mocy Najwyższego rozkazu do komitetu ministrów, po zaznaczeniu gubernatora, że nauka i wychowanie dzieci w początkowych szkołach ludowych prowadzone są w kierunku ściśle moralno-religijnym, oraz w duchu narodowości ruskiej wierności tronowi i ojczyznie, obok czego język ruski, jako państwowy, zajął we wszystkich szkołach należne mu miejsce — Najjaśniejszy Pan raczył Najwyżej napisać „pocieszające“ (*utieszitielno*). Komitet ministrów na posiedzeniu 20 października, po wysłuchaniu wzmiankowanego sprawozdania, orzekł, aby tę Najmiłościwszą rezolucyę Najjaśniejszego Pana zakomunikować ministrowi oświaty, poleciwszy mu zawiadomić o niej za pośrednictwem władzy gubernialnej osoby, które uczestniczyły w postawieniu sprawy uczenia w szkołach ludowych guberni na właściwym gruncie, oraz ogłosić o tem w *Praw. Wiestniku*. Najjaśniejszy Pan 3 listopada 1887 roku Najwyżej rzeczone orzeczenie komitetu zatwierdzić raczył.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stacya doswiadczalna hodowli buraków cukrowych i zbóż pp. Buszczyńskiego i Łążyńskiego w Niemierczu (Mohylew pod.) ogłasza w osobnej broszurze wynik uprawy i doboru nasion buraczanych (z ilustracyami). Na broszurę tę zwracamy uwagę naszych rolników i plantatorów.

Nieszczęśliwa para. Izydor Dzieduszycki, autor cennego dzieła *Patriotismus in Polen*, skutkiem rozstroju władz umysłowych, oddany został do zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie pod Lwowem. Dozorca szpitalny w walce z chorym złamał mu cztery żebra i tem okrucieństwem spowodował śmierć. Ponieważ tego rodzaju wypadki zdarzały się tam wielokrotnie, w sejmie wezwano wydział krajowy do zapobieżenia im na przyszłość i przeprowadzenia śledztwa. Żona nieboszczyka, Anastazya Dzieduszycka, autorka słynnych niegdyś *Listów do nauczycielki*, po stracie czworga dzieci, również popadła w obłęd i przebywa w Dölbingu pod Wiedniem.

Okólnik p. ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów zaleca bezwarunkowo zabronić studentom urządzania zebrań publicznych. Nadto zwraca uwagę, że z powodu małej kontroli zaczęły śród studentów powstawać pod formą stowarzyszeń (*ziemlaczestw*) filantropijnych towarzystwa występne, które, urządzając wieczorki, przedstawienia itd., jawnie nieraz popierały funduszami z tego źródła otrzymanymi przestępców politycznych. Skutkiem tego p. minister, prócz powyższych rozporządzeń, polecił rozciągnąć ścisłą kontrolę nad biletami i funduszami z przedstawień i zabaw, urządzanych przez osoby prywatne, które mają na celu dostarczenie zapomóg uczącej się młodzieży. Takie zresztą zabawy mają się odbywać za zezwoleniem władz naukowych za każdym razem.

Grzyby w naszym barszczu rolniczym będą pływały gęsto. Obok *Gazety rolniczej* powstał *Rolnik i hodowca*, a obok jego encyklopedyi małej — encyklopedya wielka, wydawana przez Muzeum przemysłu i rolnictwa. Teraz znowu *Przemysłowiec* przedzierga się na *Gospodarza i przemysłowca*. Mamy więc obecnie w Warszawie pięć wydawnictw poświęconych rolnictwu. Czy „szlachta“ wyżywi to papierowe stadko? Wątpimy, a prasa rolnicza przed nauczeniem swych czytelników, sama powinnaby zamienić swą gospodarkę extenzywną na intenzywną. Bo pięć grzybów w barszczu za wiele.

Podwyższenie wpisu. *Wiadomości farmaceutyczne* zapewniają, iż opłata za słuchanie wykładów farmacyi w uniwersytecie warszawskim będzie podwyższona do 100 rs. rocznie.

Skarga. Korespondent *Kiewlanina* z Żytomierza pisze: „W tych dniach zdarzyło mi się odwiedzić gimnazyum w czasie przerwy między lekcyami. Ucho moje, nieprzywykłe do mowy polskiej, uderzone zostało potokiem polskiej rozmowy, prowadzonej przez uczniów. Warto byłoby, ażeby władza gimnazyalna zwróciła na to uwagę. Choć mówią, że katolicy stanowią tam część przeważną, nie daje im to jednak jeszcze prawa do mówienia po polsku w szkole ruskiej. Przecież w temże gimnazyum wychowują się również dzieci rodziców ruskich, dla których taki stan rzeczy wcale jest niepożądany.“

Towarzystwo antropologiczne zawiązało się przy uniwersytecie petersburskim. Ustawę władza już zatwierdziła.

Władza duchowna obostrzyła rozporządzenia, zabraniające usług religijnych przy pogrzebach samobójców.

Towarzystwo hrubieszowskie. *Gaz. lubelska* dowiaduje się, iż wyznaczona będzie komisya specyalna, mająca się zająć ostateczną likwidacyą i podziałem majątku z fundacyi Staszica. Towarzystwo ma być zastąpione przez ogólne urządzenia gminne na zasadzie tabel likwidacyjnych.

W Witebsku z dniem 13 b. m. następuje zniesienie oddziału państwowego szlacheckiego Banku ziemskiego, gdyż majątki należące do prawosławnych i niemców są tak zadłużone, że niepodobna dawać na nie pożyczki. Pozostaje tylko filia Banku włościańskiego, rozwijająca ogromną czynność.

W Mińsku Litewskim odbył się bal, z którego dochód 1,200 rs. przeznaczono na pomoc dla uczniów miejscowej szkoły rzemieślniczej.

Nowosti donoszą, iż jednocześnie z podwyższeniem cła od kosmetyków przywożonych z zagranicy, nastąpi wyższe oclenie środków lekarskich zagranicznych.

Wystawa konkursowa w Warszawie otwarta będzie 15 b. b. m. w lokalu Tow. sztuk pięknych.

Nowe przepisy wydano, na mocy których towary zagraniczne mogą być wysyłane kolejami żelaznemi bez pobrania cła na jednej komorze granicznej z warunkiem ściągnięcia na innej. Towary takie można przewozić albo w wagonach zaplombowanych, na

platformach pod oponami zaplombowanemi itd., albo bez plomb, lecz z dokładnem opisaniem wagi i znaków. Wolno również przewozić bagaże pasażerskie bez rewizyi na granicy w wagonach zaplombowanych, koszach i specyalnem opakowaniu.

Konkursy. Z zapisu ks. rektora Jakubowskiego wydział matematyczno-przyrodniczy Akademii umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs: „Opisać na podstawie najnowszej literatury i własnego doświadczenia sposoby suszenia owoców i warzyw w przemyśle fabrycznym i domowym.“ Autor powinien podać nietylko dokładne opisy i rysunki potrzebnych przyrządów, lecz także koszt ich sprawienia i wyrobienia w domu; wskazać, jakie gatunki owoców i jakie z naszych warzyw do tego się nadają, podać koszty połączone z produkcyą i wykazać, w jakich warunkach może się ona opłacać. Praca konkursowa powinna świadczyć, że autor nie jest kompilatorem. Termin do końca grudnia 1888 r. Nagroda 600 rs., która w danym razie rozłożona być może na dwie: 400 i 200 rs.

— Redakcya *Gaz. sądowej* ogłasza konkurs na dzieło popularne „o ubezpieczeniu od ognia.“ Nagroda rs. 100, oprócz honoraryum za druk pracy. Termin 1 stycznia 1889 r.

— Milioner Nieczajew-Malcew ogłosił przed kilku miesiącami konkurs na plafon, który rozstrzygnięto. Pierwszą nagrodę rs. 1,000 otrzymał p. Tadeusz Roztworowski, artysta-architekt za plafon na temat „Zwycięztwo piękności,“ odznaczający się wielkiemi zaletami. Trzecią nagrodę rs. 500 udzielono p. Alchimowiczowi. P. Malcew nabył jeszcze trzy utwory, z których jeden jest dziełem p. M. Kotarbińskiego.

Z Budapesztu 10 b. m. donoszą, iż Dunaj grozi wylewem.

Times obchodził 1 stycznia setną rocznicę swego istnienia.

W Kentucky kaznodzieja Banatyne, 70-letni starzec ożenił się z 5 letnią bardzo posażną dziedziczką. Grand Jury uznało małżeństwo za nieważne, a pastora, który je błogosławił, skazało na grzywny.

Okolice Malagi w Hiszpanii nawiedziła wielka powódź. Kilkomilowe spustoszenie dotknęło przeważnie ludność ubogą.

Rada państwa przychyliła się do projektu ustanowienia akcyzy od zapałek.

W Paryżu d. 2 b. m. pożar zniszczył do szczętu fabrykę fortepianów Bréarda. Spłonęło przeszło tysiąc instrumentów.

Katastrofa. W nocy z 29 na 30 z. m. w Woroszyłłach (12 wiorst od Białegostoku) w fabryce wełny sztucznej Cauznera wybuchł straszny pożar. W ogniu zginęło 12 robotnic.

W Kijowie Towarzystwo przemysłu i rolnictwa wiejskiego urządza wystawę nasion. Otwarcie nastąpi 20 lutego, zamknięcie 3 marca.

Naczelnicy dyrekcyj naukowych na żądanie ministeryum wychowania publicznego nadesłali odpowiedź na pytanie: o ile jest potrzebne otwarcie oddziałów rzemieślniczych przy szkołach dwuklasowych rządowych i czteroklasowych miejskich.

Do floty handlowej morza Kaspijskiego zamówiono dotąd około 20 parowców objętości od 30,000 do 80 000 pudów sześciennych, wartości 100,000 do 150,000 rubli. Zatem na jeden rok wydano niespełna 2 miliony rubli. Parowce zamówiono w Rosyi, Szwecyi i Anglii.

Wyrok. Podczas ostatniej kadencyi sądu okręgowego w Homlu (w gub. mohylewskiej), skazano na areszt policyjny dwóch baptystów (uznanych za sztundystów) za urządzenie modlitewni. Jeden z członków sądu przeciw wyrokowi zaprotestował i wpisał do akt odpowiednie zastrzeżenie.

W Collège de France p. Léger, profesor literatury słowiańskiej, wykłada „Historyę cywilizacyi w Polsce.“ Odczyty nacechowane są niechęcią ku polakom.

Zima na Południu szerzy się niesłychanie. Nawet Sycylię nawiedziła śnieżyca. Koło Wenecyi wskutek śniegu zatonęło 15 łodzi rybackich, a morze tak się podniosło, że zalało najwyższe części miasta. Budynki wystawy jubileuszowej w przeważnej części uległy zniszczeniu. W Bolonii pod ciężarem śniegu zawalił się dach na gmachu kasy oszczędności, tudzież pokrycie z lanego żelaza na cyrku. W Turynie i Parmie domy mieszkalne zapadły się. W Reggio i d'Emilio publiczność nie mogła wyjść z teatru, gdyż na ulicy śnieg leżał na metr grubości. W Nizzy warstwa śnieżna wynosiła 18 centymetrów. A za to znowu w Meranie ma być 31 stopni gorąca.

Zmarli. Nicefor Tumasow, małorusin, autor wydanych po rusku prac: „O szlachcie w Rosyi południowej,“ „Miasta Rosyi południowej“ itd. Umarł w Petersburgu z nędzy.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Jakóbowi S. Gold. Wysłaliśmy odpowiedź listowną do Płocka, nie wiemy wszakże, czy pod dobrym adresem, gdyż podpisuje się Pan z niewyraźnem zakończeniem nazwiska.

Grat. ag. Dla uniknięcia nieporozumienia, zdanie: „której wynik itd.“ powinno być wzięte w nawias lub między dwie kreski; miejsce jego dobre.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów: B. Starorypiński z Korabczyjewki kop. 80.

Na kasę imienia Mianowskiego. Ignacy Zawadzki z Udrycz rs. 5; Bogan Rudnicki z Wydronuzska rs. 5.

Na szkołę rzemieślniczą. Bracia Jabłkowscy rs. 10 kop. 30.

Do rozporządzenia Redakcyi. U. D. N. rs 20.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Января 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.